AS

Nr. 27
4 LIPCA 1937 ROKU
CENA 40 GROSZY



PIERWSZY DZIEŃ NA PLAŻY...

FOT. Dr. P. WOLFF.

KONKURS
MAGAZYNU „AS"
NA NAJLEPSZĄ NOWELĘ

PROTOKÓŁ
Z POSIEDZENIA SĄDU KONKURSOWEGO

W dniu 25 czerwca 1937 roku odbyło się posiedzenie Sądu Konkursowego przy pełnym składzie członków. Na wstępie ąd Sna wniosek przewodniczącego kooptował do Sądu Konkursowego redaktora Jarosława Janowskiego, powierzając mu równocześnie funkcje sekretarza Konkursu.

Następnie Sąd zapoznał się z rezultatami dotychczasowych prac członków Sądu. Z nadesłanych na konkurs 463 nowel przedmiotem rozważań na posiedzeniu Sądu było 168 utworów, z czego 161 zostało definitywnie odrzuconych, pozostała zaś liczba przekazana została do dalszych debat.

Spis odrzuconych utworów zamieszczony zostaje na łamach tygodnika „AS". Autorzy odrzuconych utworów będą mogli je otrzymać bądź za osobistem zgłoszeniem się w redakcji „ASA", bądź pocztą po uprzedniem nadesłaniu znaczków pocztowych w wysokości 50 groszy jako opłatę za przesyłkę zwykłą. bądź też 1 zł. tytułem przesyłki poleconej.

SĄD KONKURSOWY.

NOWELE, ODRZUCONE PRZEZ SĄD KONKURSOWY

„Moja pierwsza kolacja" (godło: „Mar"), „Konkurs i panna" (godło: „Beroes"), „Zaorane pociski" (godło: „Pocisk"), „As i Asia" (godło: „Same asy"), „Powrót wyzwolony" (Godło: „As"), „W Gryon deszcz" (godło: „Cisza"). „O świętym z Wólki Mizernej" (godło: „Sowa"), „Hanka" (godło: „Izaten"), „Piłka"' (godło: „Ujejski)"), „Odpowiedź banalna" (godło: „Czerwiec", „Brama szczęścia" (godło: „Nikodem Mirza"), „Małe skrzypeczki" (godło: „Mewa"), „W nieznane..." (godło: „Poray"), „Bezimienna i pan z papierosem" (godło: „Załm"), „Jawa" (godło: „Legun"), „Sen wizja" (godło: „Rom-ron"), „Podcięte skrzydła" (godło: „Seweryn"), „Drogi życia" (godło: „Widz", „Wojtuś" (godło: „Anoli"), „Narodziny radosnego rzemiosła" (godło: „Dzień"), „Dwie cyganerje" (godło: „Przez oko do pióra"), „Pani Wika" (godło: „Z Zuzanna"). „Wydarte obrazki" (godło: „Niaton Nar"), „Wspomnienie o Krakowie" (godło: „Smutna młodość"), „List miłosny" (godło: „Smutna młodość"), „Glebae adscripta" (godło: „Ungmbuset rostro"), „Legonom dom, cysarzowi nie dom" (godło: „Dalin"). „Wspaniałe żebranie" (godło: „5-T"), „Ostatnia lekcja" (godło: „Ancien Regime"), „Jej dziecko" (godło: „Hajduk"), „Marzenie Cyprjana" (godło: „Karuzela", „Bezdroże" (godło: „Aldous"), „Ojczyzna Jego Matki" (godło: „Orlę"), „Klucz" (godło: „Samuraj"), „Gdy jeden zwycięża" (godło: „Nigdy inaczej"), „F. O. N." (godło: „Krystyna"). „Współcześni" (godło: „Azais"), „Orzeł czy reszka" (godło: „Dawid Copperfield"), „Tragedja starego emerytowanego polonisty" (godło: „Koniczynka"), „W górach" (godło: „T. P. Z."), „Matka" (godło: „Wisła"), „Dziecko" (godło: „Adam Stesnowicz"), „Przygoda Marka Piętki" (godło: „Satyr W. K.), „Wpływ kolegów" (godło: „Prośba"), „Kto on?" (godło: „Asy"), „Spóźniona miłość (godło „„Azais"), „Kłótnia" (godło: „Azais"), „Taki sobie obrazek" (godło: „Azais"), „Stracone szczęście" (godło: „Mitręga"), „Astry" (godło: „ Nid"), „Ambicja wachmistrza Mazgaja" (godło: „Dżems"), „Ostatni list do niego" (godło: „Formoza"), „Szczęście Anmy" (godło: „Per aspera ad astra"), „Sowizdrzał" (godło: „Parnaś"), „Wierna miłość" (godło: „1936"), „Poniedziałek" (godło: „19-tka"), „Nie byłam ubezpieczona" (godło: „5-ty grudnia"), „Kochankowie z Lubawki" (godło: „Lena Lechówna"). „Czarodziejskie skrzypki Małgosi" (godło: „Wiejski chłopak"), „Kiszmet" (godło: „Ultima ratio"), „Testament pana Macieja" (godło: „Gryf"), „Hani" godło: „Zdzisław Katra-Lechicki"), „Zagadka" (godło: „Babie lato"), „W grocie" (godło: ‚Eswu"). „Nie było tak!" (godło: „Wasiłek"), „Aresztantka transatlantyku" (godło: „Gdynia—Ameryka"), „Zocha (godło: „Edward"), „Malowane talerze" (godło: „ZMC 1"), „Z pod strzechy" (godło: „Kaprys"), „Ojciec i córka" godło: „Eremita"). „Bajki z Pelemli" (godło: „Zasański"), „Kobieta zmienną jest" (godło: „La donna e mobile"), „Dla ciebie" (godło: „Śląsk"), „Dziecko" (godło: „Hak"), „Jugusia" (godło: „Ulicznica""), „Zbójca" (godło: „Zmierzch"), „Rezurekcja" (godło: „37"), „Spotkanie" (godło: „Wilija"). „Prywatne życie ludzi sceny" (godło: „Aktorka", „Narkotyk" (godło: „Ślepowron"). „Lasy wiecznie zielone" (godło: „Może teraz?"). „Królowa nocy" (godło: „Kaktusowiec"), „Baronówna von Krauthein" (godło: „Von Krautheim"). „Bohater" (godło: „Justitia"). „Mauzer 110633" (godło: „Student"), „Kamieniołomy" (godło: „Rellon"), „Najpiękniejsza chwila w życiu Edwarda Ziomki (godło: „Azais"), „Dziwny dziadek" (godło: „Przeczytajcie od A do Z"), „Babcia Chodorowska" (godło: „Starość nie radość"), „Na dno" (godło: „Helios"), „Realista" (godło: „Szatan"), „O Antku ordynansie i o butach pana majora — zełgana historja" (godło: „Niższe sfery"), „Pomyłka" (godło: „Miltun Wel"), „Podła ziemia" (godło: „7"), „Szczęście z ekranu" (godło: „Promień"), „Pół godziny gimnazjum" (godło: „Hoczkis"), „Złamana grusza" (godło: „Beata l'alma, ove non corre tempo!"), „Andrzejki" (godło: „Sław Sulima"), „Wichrowy rejs" (godło: „Włóczęga morski"), „Dla ciebie Polsko..." (godło: „Zobaczymy"), „Księżniczka Olali" (godło: „Sfinks"). „Pojedynek poety" (godło: „Jasieńczyk"), „Zbieg" (godło: „Lechita"), „Zwycięstwo" (godło: „S. E. 1434"), „Nauczyciel" (godło: „RE-NA"). „Przygoda nieboszczyka" (godło: „Lechita"), „Za wolność" (godło: „Ali. J. S. U."), „Psiakrew" (godło: „Maska"), „Podpora starości" (godło: „Fatalista"), „Czarne znamię" (godło: „Na górze róże, na dole fiołki..."), „Oni..." (godło: „119"), „Cztery rundy" (godło: „Pourquoi?"), „Nowy „Kopciuszek" (godło: „J. B. S. 21"), „Świat... to absurd!" (godło: „Kropla"), „Smok na Wawelu" (godło: „Tytan"), „Świętojański kwiat paproci" (godło: „Wierna rzeka"), „Pan Makary narzeka na czasy" (godło: „Biuralista lat 20"), „Mdlejąca akacja" (godło: „Zielony mosteczek"), „Nagroda" (godło: „Błyskawica"), „W dzisiejszej gazecie... czytamy" (godło: „Jar"), „Codzienne ogłoszenie" (godło: „Prasa"), „Twój powrót..." (godło: „Rtęć"), „Tańczące pantofelki" (godło: „Domino"), „Uwodziciel i naiwna" (godło: „Jacek"), „Czarny narcyz" (godło: „Nina 45"), „Dusze ludzi i domów" (godło: „Na los szczęścia"), „Zachwycająca przygoda" (godło: „Grand Prix"), „Trzynasta ofiara Faraona" (godło: „Alicja"), „Serce wśród szakali" (godło: „Konwalje"), „Mikołaj" (godło: „Zet-Em"), „Łzy" (godło: „Stakur"), „Pożegnanie z bratem" (godło: „Tak było"), „Ulewa" (godło: „Kabo"), „Szewczyk" (godło: „Marbi"), „Czarny obrazek" (godło: „Śląsk"), „Wilczyca" (godło: „Wilczyca-matka"), „Rybak" (godło: „Wal"), „Pirożek" (godło: „Don Humorek"), „Kobieca przebiegłość" (godło: „Zew"), „Nowy front" (godło: „Antar"), „Cichy wspólnik" (godło: „Gnomon"), „Przyszłość" (godło: „Amri"), „Ludzie przy studni" (godło: „Mogielnica"), „Mariuta" (godło: „Silvius Martius"), „Mgła" (godło: „Krywań"), „Przygoda w uzdrowisku" (godło: „Debiut 26"), „Opętana" (godło: „Boruta"), „Krzywda" (godło: „Turbacz"), „Nieoczekiwane spotkanie" (godło: „Artibus"), „Szuk" (godło: „Jaromir Świątek"), „Jak se pies z kotem na mrozie ugwarzowali" (godło: „Kot"), „Mieszczka szlachcianką" (godło: „Faun"), „Niezapominajki" (godło: „Emilowicz"), „Młoda miłość" (godło: „Petit"), „Zonka" (godło: „Zrozumieć — przebaczyć"), „Tęsknota" (godło: „Kula"), „Życie" (godło: „Serce"). „Dusza za piecem" (godło: „Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe"). „Kwiaty z granitu" (godło: „19-ty kwietnia").

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 27 **Niedziela 4 lipca 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 27-GO:



NUMER POŚWIĘCONY MORZU I TURYSTYCE

Fot. „AS"

Wizyta króla Wielkiej Rumunji, Karola II w Polsce, stała się dla rządu, jak też i całego narodu polskiego okazją do zamanifestowania szczerej przyjaźni, jaką Polska żywi dla swego sąsiada, jak również silnej woli utrzymania ścisłej współpracy politycznej i kulturalnej obu narodów. W swej podróży po Polsce J. K. M. Karol II odwiedził również Biedrusk, gdzie był świadkiem ciekawych ćwiczeń wojskowych, oraz Kraków, gdzie zapoznał się z panteonem naszej chwały — królewskim zamkiem na Wawelu i innemi pamiątkami przeszłości. Na zdjęciu naszem: król Karol II w towarzystwie Pana Prezydenta R. P. oraz następcy tronu, Wielkiego Wojewody ks. Michała i Pana Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza opuszcza dworzec warszawski po przyjeździe do stolicy Polski.

PO SZTORMIE

Pogodny i świeży, przejrzysty jak łza, wczesny poranek letni. Tem rozkoszniejszy, że przez siedem dni szalał na morzu gwałtowny sztorm z północy. Rybacy jednak są złej myśli, gdyż wicher ten przyszedł gwałtownie i niespodziewanie. Pomimo, że biuletyn meteorologiczny, przekazywany codziennie przez telefon z Gdyni, zapowiadał wyraźnie, czarne na białem: „pogoda, słabe wiatry południowe, stan morza i zatoki 1 do 2“ Pomimo, że stare ich kości, ten najlepszy barometr, wcale na zmianę nie darły! Dość, że zaskoczeni, nie zdążyli wyciągnąć z morza sieci.



Nad morzem polskiem wschodzi księżyc, wyłaniając się z strzępiastych chmur.
Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś-Hallerowo

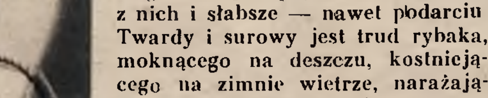


Na lewo: Rybacy helscy przy wiązaniu sieci.
Fot. F. Nowicki - Kraków.

Sieci... Owoc żmudnej pracy długich wieczorów zimowych, przemyślnie skombinowany celem wydarcia morzu jaknajwiększej ilości śledzi, makreli, węgorzy czy też częściej spotykanych pomuchli, skarpi i storni. Może nie słyszeliście, Czytelnicy, tych nazw?... Tak Kaszubi nazywają ryby, które napewno znacie dobrze, tylko że pod innymi, narzuconemi, niemieckiemi imionami. Pomuchle— to cenione na dietetycznym stole dla swojego jędrnego, chudego mięsa, dorsze, a stornie, inaczej starniewkami zwane, to przecież poczciwe, pożywne flondry, z którą to nazwą jesteśmy należycie otrzaskani, jeżeli nie przez podniebienie i żołądek to przez kuchnię, gdzie bywa ona chętnie przez porywcze gospodynie używana dla określenia niechlujstwa. Właściwie nie wiadomo dlaczego?... Flondra bowiem, zwłaszcza mała, w okresie swego niefrasobliwego dzieciństwa, jest miłą i śliczną rybką, obdarzoną przez naturę barwą ochronną o odcieniu piasku, wśród kórego myszkuje.

Skarpie zaś, to również płaskie jak flondra, ale większe od niej i bardziej pękate sztajnbuty. Ugotowane i polane masłem, są prawdziwym specjałem.

Jakkolwiek wiatr północny nie jest dla sieci najgroźniejszy, gdyż nie powoduje prądu bocznego, to jednak uległy one z pewnością potarganiu i splątaniu, a starsze z nich i słabsze — nawet podarciu Twardy i surowy jest trud rybaka, moknącego na deszczu, kostniejącego na zimnie wietrze, narażającego życie. Zdarza się przytem, gdy sezon połowów jest burzliwy, że rybak po odliczeniu własnych kosztów ma w zysku... deficyt!



Pogawędka marynarska.
Fot. F. Nowicki — Kraków.

Morze, po którem wściekle rycząc, goniły przez cały tydzień białe barany, odstąpiło wreszcie od wydm. Coprawda fale wzdymają się jeszcze w zielone, jak butelkowe szkło, rulony, jeszcze wiatr zdmuchuje z nich białą pianę. Jednak uspokoiło się do tyla, że rybacy uznali za możliwe przepchnięcie swoich ciężkich łodzi przez przybój przybrzeżny i postanowili wyruszyć.

Na plażę, złotą od promieni wzeszłego niedawno słońca, schodzi z wydm gromada kilkudziesięciu czarnych postaci. Skupiają się u burt jednej z sześciu, kilkadziesiąt centnarów ważących łodzi i pod komendą miarowego, gardłowego okrzyku, który podaje im takt, godnymi, zmechanizowanymi ruchami spychają ją ku morzu. Mają nielada pracę, gdyż wobec nacierających fal musiano w początku ubiegłego tygodnia przepchnąć łodzie aż do wydm. Wieś bowiem nie ma portu i trzeba je każdorazowo wyciągać na piasek. Są też odpowiednio do tego zbudowane Obłym swoim kształtem zdradzają dobrą stocznię. Są szerokie, zanurzają się w wodzie płasko, fale biorą ślizgając się raczej, niż je przecinając. Celem usunięcia dryfu bocznego przy żegludze pod wiatr i w pół wiatru mają oczywiście wbudowaną skrzynkę z ruchomym mieczem. Jednak ich takielunek jest nader prymitywny. Z wyjątkiem bloków z metalowymi kółkami i stalowej linki sztagu, osprzęt to bodaj że taki sam, jakim posługiwali się ich praszczurowie w czasach, kiedy święty Wojciech przybył tu z Dobrą Nowiną.

Kutrów pełnomorskich, które pozwalają na dalsze połowy, nie miał tu do niedawna nikt. A przecież posiadając taki kuter oraz potrzebne na wszystkie rodzaje ryb sieci może rybak wywalczyć sobie dobrobyt, a gospodarstwu narodowemu przysporzyć poważnych korzyści. Pomimo niewątpliwych postępów w tej dziedzinie, kraj nasz wciąż jeszcze przywozi z zagranicy olbrzymie ilości ryb. Aby zmienić ten szkodliwy dla naszego bilansu handlowego stan rzeczy, należy dostarczyć rybakom możliwie dużej liczby kutrów na

wygodne spłaty. Amatorów na nie było narazie niewielu. Kaszubi byli zawsze i są nadal nieufni wobec narzucanych im nowinek. Ale gdy jednemu i drugiemu śmiałkowi, który taki kuter nabył — zresztą na bardzo przystępnych warunkach kredytowych — połowy polepszyły się znakomicie, gdy nie tylko wypłacił przypadającą na rok bieżący ratę, ale uzupełnił swoje sieci, co zkolei pozwoliło mu na połowy lepiej płaconych ryb, jak łososie — wówczas rybacy zaczęli gremjalnie szturmować Urząd Morski, prosząc o przydzielenie im kutrów. Jednak dużo jest powołanych, ale mało wybranych, bowiem podaż kutrów nie dotrzymuje kroku zapotrzebowaniu. Kuleje zwłaszcza dostawa silników, które podobnie jak i same kutry, wyrabiane są w kraju. W każdym razie stwierdzić wypada z przyjemnością, że sprawa ta, równie ważna dla podniesienia dobrobytu Wybrzeża, jak dla naszego bilansu handlowego, ruszyła już z martwego punktu Sposób zaś jej ujęcia i realizowania zdradza gruntowną znajomość miejscowych stosunków i trafne przebiją tam na dwie zmiany, aż drżą w swoich



Obrazek z polskiego wybrzeża.
Fot F. Nowicki — Kraków.



Na prawo: Port rybacki na Helu.
Fot. F. Nowicki — Kraków.

myślenie całości zagadnienia. Buduje się obecnie port rybacki w Wielkiej Wsi. Kafary płytkich fundamentach domki tej cichej do tej pory osady. Wolno mieć uzasadnioną nadzieję, że tempo pracy mającej na celu zaopatrzenie Wybrzeża w kutry również zostanie przyśpieszone.

W obecnych warunkach praca rybaków mieszkających zdala od portów w Gdyni i Helu jest ogromna i mało przy tem wydajna. Dobrze jeszcze, gdy nie przynosi deficytu, jak to było naprzykład w sezonie 1935 r., kiedy stale gniewne morz przyniosło więcej strat w porwanych sieciach, niż dochodu ze sprzedaży złowionych ryb.

I teraz więc, w ten świeży, jak uśmiech dziecka, poranek, rybacy nie wyruszają na morze ochoczo. W potarganych sieciach znajdą jeno na pół zdechłe „ugardlone“, jak powiadają, ryby, które trzeba będzie wyrzucić za burtę, jako niezdatne do jedzenia. Łodzie, zepchnięte wspólnemi siłami gromady, są już na płytkiej, przybrzeżnej wodzie. Załoga pierwszej z nich przepycha ją z trudem przez fale, poczem gdy woda sięga im już bioder, wskakuje do środka. Jednak tygodniowy sztorm zmienił układ dna. Tam, gdzie było przedtem głęboko, teraz jest przemiał. Jakoż zdołano już odsunąć nieco łódź od brzegu, kiedy wielka, rycząca fala podnosi ją na swój ruchomy grzbiet i przekręciwszy bokiem, usiłuje wywrócić. Łódź staje dęba i pokazuje swoje wnętrze; sześć długich, prymitywnych jak za króla Ćwieczka wioseł gwałtownie grzebie wodę Wygląda przez krótką chwilę niby wielki żuk, który przewrócony na wznak, przebiera energicznie swoimi sześcioma łapkami. Zła fala, przelawszy się przez plecy siedzącego na dziobie rybaka, dostaje się do środka. Załoga jednak nie traci czasu na czerpanie. Podnosi wiosła i pozwala się nieść fali. Czeka odpowiedniego momentu. Oto nadszedł: fala wraca na morze. Zgodnym ruchem wiosła zanurzają się w spienioną wodę i poczynają ją pośpiesznie zagarniać, aż gną się sękate drągi Jeszcze jeden, jeszcze drugi natrysk i łódź mija przebój i wypływa na głębszą wodę, gdzie fale nie łamią się już tak groźnie. Na maszt wzlatują żagle. Łódź przypada odrazu do fali i odtąd jej podrzutami i kołysaniem zaczyna kierować pozbawiona niespodzianek harmonja.

Za pierwszą łodzią z niemniejszemi trudnościami odbijają od lądu pozostałe. Po morzu, błękitnem, jak szlachetna stal Damascenki, suną w regularnej, skośnej tyraljerze cynobrowe plamki żagli nad czarnemi punktami łodzi i oddalają się szybko. Wiatr jest pomyślny, więc niebawem szarzeją już w dali i zamieniają się na cienkie wykrzykniki, wdzięcznie ku podwietrznej pochylone, wreszcie giną z oczu. Na horyzoncie smuży się tylko tu i ówdzie nikle, poziome pasemko dymu, jedyny ślad niewidzialnego, przesuwającego się poza wypukłością globu, parowca.

„Reboce su na morze. .“*).

Mieczysław Zydler.

*) Rybacy są na morzu.



Powyżej: Naprawianie sieci.
Fot. F. Nowicki — Kraków.



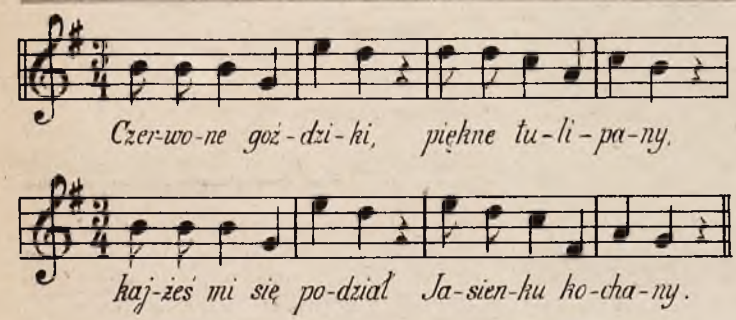
Na lewo: „Obejście“ rybackiej rodziny na Helu.
Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś Hallerowo.



Na prawo: Krajobraz z okolic Wielkiej Wsi-Hallerowa.
Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś-Hallerowo.

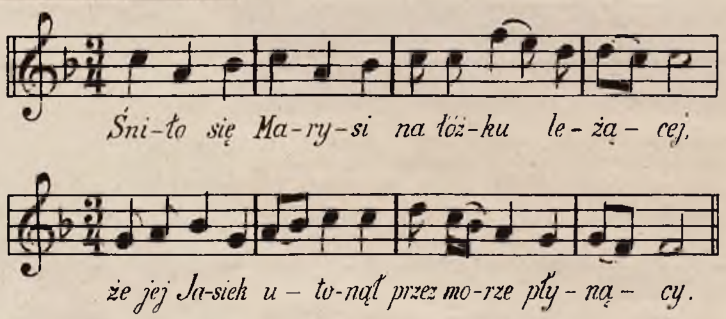


MORZE W ŚLĄSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ



Fragment śląskiej piosenki ludowej z Rozbarku (Wallis).

Poniżej: Fragment śląskiej piosenki ludowej z powiatu Kozielskiego (Roger nr. 230)



„Na piaszczystych polach Śląska wyrosły wonne kwiaty pieśni gminnej; tu żyli skromni kompozytorzy, których imiona dawno przebrzmiały, lub może nigdy nie były znane, ale ich nuty orzeźwiające duszę i serce, nie zaginą dopóki lud żyć będzie".

Juljusz Roger: Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku z muzyką.

Wrocław 1863.

Epoka romantyczna ożywiła zainteresowanie ludem, zwłaszcza, baśnie i różne podania pełne fantastycznego pierwiastka, oraz pieśni, choć w mniejszym stopniu — gromadzone są skrzętnie przez romantyków — mimowolnych etnografów. A później tę literacką podniętę zainteresowania ludem zastąpiły zainteresowania już naukowe i rozpoczęto celowe niekiedy nawet metodyczne zbieranie i spisywanie materjałów, dotyczących kultury ludowej. Wśród tych materjałów zawsze wielką grupę stanowią pieśni (np. zbiory Oskara Kolberga), a już na Śląsku pieśni zostały najlepiej opracowane ze wszystkich działów kultury ludowej. Zbierano je tu od początku XIX w., zbiera się je dzisiaj (wyprawa prof. Kamieńskiego). Doczekały się wreszcie pieśni śląskie pełnego wydania przez Komitet Wydawnictw Śląskich przy Polskiej Akademji Umiejętności.

Ogromna jest liczba tych pieśni miłosnych, weselnych, wojackich, stanowych itd itd., ogromne bogactwo melodji, ujętych w piękne, choć proste i niewyszukane formy przez nieznanych artystów przez „bezimienny genjusz ludu śląskiego". Pieśni te silnie związane z geograficznym podłożem — inne na zielonym, inne na czarnym czy białym Śląsku, zawierają wiele wątków wędrowych, mających niekiedy zasięgi światowe, wiele wątków, zaczerpniętych z fantazji lub też zpoza swego regjonu. Jeden z takich wątków zaczerpniętych z poza regjonu śląskiego, a mianowicie morza, chcę bliżej rozpatrzyć w niniejszym szkicu.

Lud śląski nie zna pieśni morskich, to jest takich, których cała treść mówiłaby o morzu, wielbiąc jego czar czy też opisując życie ludzi z nim związanych. Morze w śląskiej pieśni ludowej występuje jako jeden z motywów, wplecionych w treść pieśni, motywów rzadkich i słabo rozbudowanych. Wydaje się, że żaden z autorów tekstów pieśniowych morza nie widział, a to, co mówi o niem, czerpie bądź z fantazji, bądź z tradycji, bądź... ze Starego Testamentu! Bo i gdzie mógł to morze zobaczyć, siedząc zdala od niego, chyba jako flisak, ale wśród tysięcy pieśni znam tylko jedną wzmiankę, któraby mogła uchodzić za echa flisackiego żywota. A więc opisuje morze na podobieństwo rzeczki, widzianej u siebie.

Ty dziewucho ma miła, gdzież je tam będziesz prała
W tak dalekiej krainie?
Jest przy morzu kamień, kijaneczka na nim
Mój syneczku kochany.
(Łąka — Landrin)

bądź całkowicie puszcza wodze fantazji. Te wzmianki, najbardziej charakterystyczne, zdradzają całkowitą nieznajomość krajobrazu morskiego * Wspomniałem powyżej, iż Stary Testament był być może źródłem wiadomości o morzu:

Gdybym ja wiedziała,
Gdzie mój miły orze,
Słaćbym ja do niego
Bez czerwone morze.
(Niedziela)

Uderzające są tu analogje z historją przejścia żydów przez Morze Czerwone, historją znaną niewątpliwie ludowi. Osobno omówić należy pieśń balladową o tonącym kochanku i dziewczynie, popełniającej samobójstwo mimo tego, iż cała ta tragedja rozgrywała się na i nad morzem. Osobno należy tę pieśń

Rybacy, rybacy
Przez Boga żywego!
Czyście wy nie widzieli
Jasinka mojego?

Widzieli, widzieli,
Ale nieżywego,
W środku morza płynącego
Mieczem przebitego.

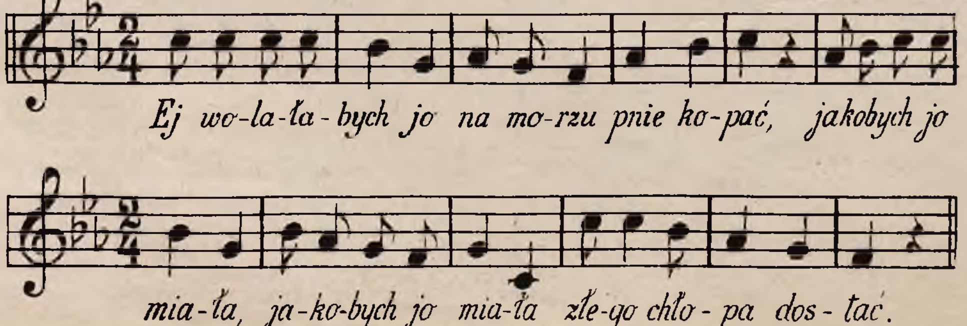
Skoczyła Marysia
Z brzega wysokiego,
I wyrwała miecz ostry
Z boku Jasiowego.

Wyrwała, wyrwała,
I w siebie go wbiła!
Przypatrzcie wszystkie panny
Jako go lubiła!

omówić, dlatego, iż nie jest to wątek śląski, lecz wątek stary, siegający starożytności, przejęty i rozpowszechniony wśród ludów romańskich, germańskich i słowiańskich.

Podłożem tej pieśni jest historja namiętnej miłości kapłanki Afrodyty w Sestos Hero i Leandra z Abydos. Kochanków rozdzielała cieśnina Htlespontu, co noc jednak płynie

Poniżej: Fragment śląskiej piosenki ludowej z Koszarzysk (Doffek).



Leander przez cieśninę, kierując się w stronę światła pochodni, zapalonej przez Hero. Pewnej nocy pochodnia zgasła i Leander nie mogąc dopłynąć do brzegu, utonął. Zrozpaczona kochanka rzuca się w morze i tonie, nie mogąc znieść śmierci ukochanego. Mamy tu więc do czynienia z pieśnią o motywach przekazanych przez tradycję ludową, motywach starych, obcego pochodzenia. Reasumując powyższe rozważania, należy stwierdzić, iż morze w śląskiej pieśni ludowej należy do zespołu wątków, zaczerpniętych głównie z fantazji. Fantazja ta wiąże z morzem cechy krajobrazowe bądź znane z rodzinnych stron (np. w tekście zanotowanym przez Landrina), bądź też stwarza krajobrazy zgoła nierealne (np. tekst zapisany przez Doffka).

Poznawszy źródła pochodzenia wątków marynistycznych zastanowić się wypada nad charakterem, w jakim one występują w zespole śląskich motywów pieśniowych, nad rolą, jaką odgrywają. Wiemy już, iż morze nie jest tematem, nie jest ono nawet wątkiem rozbudowanym, mimo tego jednak należy do zespołu wątków ciekawych, atrakcyjnych, a to zarówno ze względu na swoje źródło, jak również na charakter napoły symboliczny wjakim występuje Na podstawie materjału, jakim rozporządzam, jest morze również tworzywem do robienia porównań i zestawień poetyckich.

Jest więc morze raz symbolem czegoś ogromnie dalekiego, określeniem bodajże najsilniejszym, jakim rozporządza pieśń ludowa w zakresie opisywania odległości:

Pójdę lądem aż na morze, można mi
Bóg dopomoże,
Że się znajdę choć za morzem, serce
ci moje stworze —

śpiewa dziewczyna, żaląc się na swą dolę. Drugą formę odnajdujemy w następującej piosence:

Ile kropek w morzu,
Ile gwiazd na niebie;
Tyle mam szacunku
Panienko dla Ciebie.
(Pow. rybnicki — Roger nr. 226)

Tu morze nie jest symbolem, lecz oznacza coś ogromnie licznego, ogromnie wielkiego. Wątek to, jak wspomniałem, rzadki, zdystansowały go gwiazdy bardziej znane, bliższe, że się tak wyrażę, twórcom tekstów piosenek i chętniej przez nich do porównań używane.

Kończąc ten szkic poświęcony wątkom morskim, należy podkreślić raz jeszcze, iż w wyniku szczegółowej analizy zaliczyć należy je do zespołu wątków fantastycznych o symbolicznem znaczeniu. Byłoby rzeczą interesującą prześledzić ich charakter w pieśni ludowej Wielkopolski i Pomorza, by ustalić o ile rośnie ich bogactwo oraz ich realizm w miarę zbliżania się do prawdziwego morza.

Mgr. Józef Ligęza.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



W górnym rzędzie austrjackie znaczki wydane z okazji 100-lecia żeglugi parowej na Dunaju; poniżej znaczek francuski, wydany w związku z XIII. Kolejowym Kongresem Międzynarodowym.

Rozwój środków komunikacyjnych uwidoczniony jest w filatelistyce doprawdy z fotograficzną dokładnością i w bardzo krótkich odstępach czasu pojawiają się znaczki, przedstawiające najnowsze wynalazki.

Tym razem dwa państwa wydały bardzo piękne egzemplarze, a mianowicie Francja z okazji 13-ego międzynarodowego kongresu kolei żelaznych i Austrja w stulecie żeglugi parowej na Dunaju.

Nie wiadomo którym pzyznać perwszeństwo, jednak serja austrjacka przedstawia się okazalej. Dosyć duży format 41x30 mm, niezwykle staranna heljograwura, jak i wyrazistość rysunku muszą zasłużyć na słowa prawdziwego uznania. Łatwo można się domyślać, że czerwony znaczek za 12 gr (ze zbioru p. Skwirzyńskiego) przedstawia stateczek z przed 100 laty, a druga wartość za 24 gr, nowożytny parowiec, jeden z największych, jakie żeglują na słodkich wodach Europy. Szkoda tylko, że wszystkie austrjackie znaczki wykonane tego rodzaju drukiem, mają ząbkowanie „linjowe", a nie „skrzynkowe".

Laicy uważają wówczas niesłusznie, że na rogach brak ząbka: nie mają oni racji, nawet przy najstaranniejszem rozdzielaniu nie może się on zachować w całości.

Z serji 2-ch francuskich znaczków reprodukujemy niższą wartość za 30 c. Zdaje się, że w Polsce będziemy jeszcze długo czekali, zanim na naszych kolejach pojawią się podobne elektryczne maszyny, a już prędzej zapewne zobaczymy parowozy o linjach opływowych (jak na drugim znaczku z tej serji za 1,5 fr). Barwy: zielona wzgl. c. niebieska (ze zbioru p. A. Żmudy).

Za dwa bloki gdańskie, opłaty i lotniczy trzeba już płacić bardzo słone ceny, są one jednak efektowniejsze, aniżeli blok wydany w czasie wystawy paryskiej, który zawiera tylko 4 znaczki typu „Cerery", będące w obiegu już w roku 1849. Filatelistyka wprowadza tu nową terminologję, która jest dla laików tak niezrozumiała jak różne nazwy ornitologiczne. Czyż wie ktoś prócz nas, co znaczą słowa: „WIPA", „Iposta", „Pexip", „Naba" itp? W każdym razie moda na owe bloki stała się conajmniej chorobiwą, a co za tem idzie, szkodliwą!

W. H.

SPLIT

MIASTO PRZESZŁOŚCI

W ostatnich latach wybrzeża wschodniej Adrji stały się ulubionym celem wycieczek polskich turystów. Całe rzesze spragnionych słońca i ciepła mieszkańców naszej północnej ojczyzny spędzają rokrocznie wakacyjne miesiące na dalmatyńskich plażach. Czy sprawia to taniość waluty, czy ułatwienia paszportowe na skutek specjalnych układów handlowych z Jugosławją, czy może poprostu dziwny urok tego pięknego kraju — niewiadomo. Faktem jest jednak, że słoneczna Dalmacja stała się potężną turystyczną rywalką Italji. Upodobał ją sobie nawet dzisiejszy ks. Windsoru — którego pobyt w Dubrowniku zeszłego lata stał się hasłem do jeszcze liczniejszych wycieczek w te strony. Dalmacja stała się modną.

A przyznać trzeba, że zasługuje na to w pełni. Bajeczny, subtropikalny w jej południowych okolicach klimat, ochładzany świeżością morskiego powiewu — bujna i ciekawa roślinność wybrzeży — malowniczość surowych skał i nadbrzeżnych gór spływających do morza dzikiemi urwiskami — piękny i sympatyczny lud, malownicze i barwne jego stroje — cudowne zabytki bogatej, artystycznej przeszłości — oto walory tego kraju.

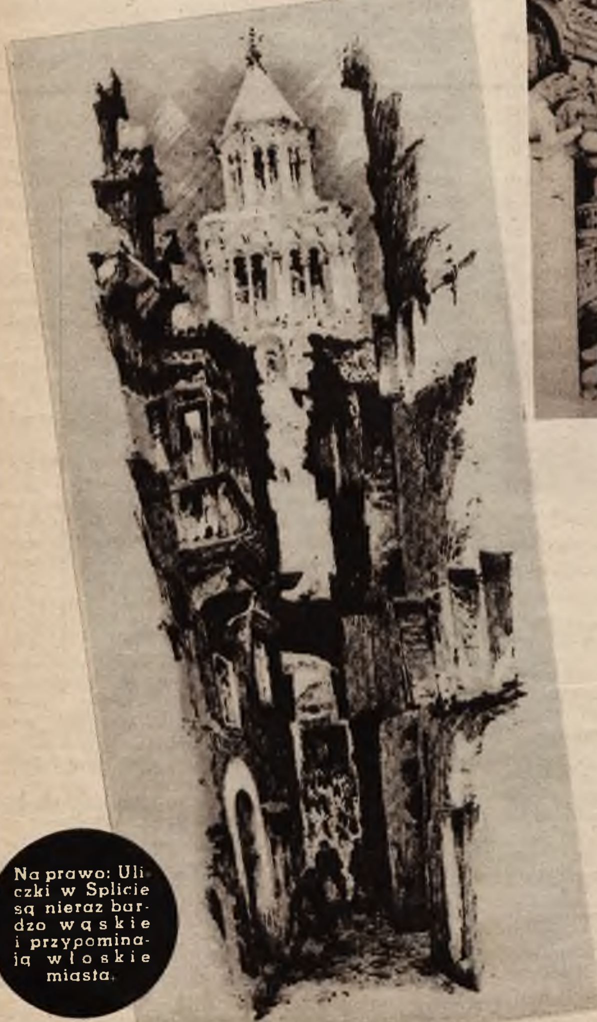
Wzdłuż całego wschodniego wybrzeża Adrjatyku, na przybrzeżnych wysepkach i po głębokich cichych zatokach kryją się średniowieczne miasteczka, wznosząc ku niebu strzeliste kampanile swych kościołów i zdobne rzeźbami fasady opuszczonych pałaców. Kwitnące glicynje i żałobne girlandy bluszczu pną się po starych murach, a na powalonych kolumnach wygrzewają się w słońcu małe, metalicznie lśniące jaszczurki. Wśród miast tych jest jedno, którego żaden wędrowiec nie powinien ominąć — miasto przepojone wspomnieniami świetnej przeszłości, którego każdy niemal kamień jest muzealnym zabytkiem. Miastem tem jest Split.

Cesarz Djoklecjan, pochodzący z Dalmacji, podówczas kwitnącej rzymskiej prowincji, znużony trudami panowania postanowił osiąść po abdykacji na dalmatyńskiem wybrzeżu.





Widok na perystyl katedry w Splicie.
Na lewo: Fragment perystylu od strony dawnego cesarskiego mauzoleum.



Na prawo: Uliczki w Splicie są nieraz bardzo wąskie i przypominają włoskie miasta.

Nad obszerną zatoką w pobliżu miasta Salony, zbudował rezydencję, będącą czemś pośredniem między rzymską willą a warownym obozem. Był to obszerny kompleks budynków, wzniesiony na czworobocznym planie; na rogach wznosiły się cztery wieżyce, a w murach otwierały się z każdej strony cztery bramy: porta Aurea, porta Argentea, porta Enea i porta Ferea.

Po śmierci Djoklecjana pałac przeszedł na własność Rzymu. Gdy w 7 w. sąsiednia Salona została zburzona przez Awarów i Chorwatów, mieszkańcy jej schronili się na nadbrzeżne wyspy, z czasem zaś osiedlać się poczęli w murach opuszczonego pałacu, który zamienił się zwolna w oddzielne miasto — ówczesne Spalato, dzisiejszy Split.

Pomimo, że miasto oddawna rozrosło się poza obręb warownego pałacu, stanowi on do dzisiejszego dnia serce Splitu, właściwe jego centrum.

Z biegiem czasu romańscy osadnicy zlali się z napływową ludnością słowiańską: — Split stał się bogatym portem handlowym, oraz metropolją kościelną i kulturalną. Bogaty jego rozkwit w średniowieczu zwrócił nań oczy zaborczej Wenecji, która w 15 w. objęła go — wraz z sąsiednim Trogirem — w długoletnie władanie Nic też dziwnego, że wąski uliczki Splitu tak żywo przypominają zaułki weneckie.

Pierwsze moje ze Splitem poznanie miało miejsce o tej najpiękniejszej, tajemniczej godzinie, kiedy majowy świt rozchyla różowemi palcami jutrzenki ciemno-szafirowe zasłony nocy, gasząc na niebie bladnące z rannego chłodu gwiazdy. Okręt przybijał do śpiącego jeszcze portu, prując bezgłośnie granatowe, ociężałe snem fale. W półmroku rysuje się widmowo monumentalna fasada rzymskiego pałacu, patrząca na morze ciemnemi arkadami swych kolumnowych tarasów Wąskiemi, pustemi uliczkami idziemy ku centrum miasta, dokąd wzywa nas wystrzelająca ponad dachy smukła kampanile katedry. Wchodzimy na perystyl: ten przepyszny zabytek późno-rzymskiej architektury, otwierający się perspektywą swych szesnastu kolumn wśród uśpionego jeszcze miasta, wygląda jak jakaś nierealna zjawa przeszłości Po prawej stronie wznosi się mała świątynka Jowisza, zamieniona w średniowieczu na Baptisterjum, po

Dokończenie na str. 12-tej

SPADEK

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

NOWELA

Dla tego wysokiego, jasnowłosego, barczystego chłopaka, wszystko w tym wielkim świecie londyńskim było jeszcze niezgłębioną nowością. Olśniewały go wystawy sklepowe, onieśmielały wytworne dancingi i hotele, wprowadzały w kłopot piękne panie z high-life'u, do którego przynależał tak przez swe urodzenie jak przez niedawno odziedziczony majątek. Nieraz znajdując się w towarzystwie kilku starszych godnych gentlemanów, omawiających ostatnią mowę premjera Baldwina czy uroczystości koronacyjnych, lord Artur Craig czuł się onieśmielony, gdyż za mało jeszcze nawiązał węzłów sympatji i zrozumienia z tym wielkim światem, za mało zrósł się z jego interesami, poglądami i techniką życiową, aby móc brać żywszy w tem wszystkiem udział.

— Jak chętnie wróciłbym do biura, do mego kąta z tym zawsze zawalonym papierami stołem, myślał nieraz w takich chwilach.

I jak chłopak złapany na gorącym uczynku, patrzył się badawczo na obecnych, bojąc się, aby czegoś nie spostrzegli. Ale myśli przechodzą zwykle niepostrzeżone, chyba że się je wykonuje.

Niedawno stosunkowo temu obecny lord Artur był tylko małym urzędnikiem prowincjonalnego oddziału towarzystwa asekuracyjnego „Prudential" w Liverpoolu i nie miał bynajmniej nadziei, że wkrótce zabłyśnie na horyzoncie stolicy. Artur liczył jedynie na samego siebie: jego poglądy życiowe były równie proste i naiwne, jak to się może zdarzyć u młodego Anglika. Alfą i omegą jego planów była praca, uczciwość, oszczędność. Zasady jego zdawały się być jakimś wyjątkiem z książki dla dzieci, która stawia im przed oczyma najbardziej popularne i „oklepane" przykazania. Stary dyrektor Briggs, przełożony Artura był z niego zupełnie zadowolony i nieraz mawiał do niego, że jeżeli wytrwa w tej pracy, będzie czynił dalsze postępy w niej i nie da się zwieść przez życie na manowce, podwyżka pensji jest pewną i wkrótce — może za lat dwa lub trzy, Artur będzie zarabiał wcale nieźle. Wysoki chłopak był w takich chwilach wniebowzięty, serce jego wzbierało wdzięcznością dla swego pryncypała, a w duszy postanawiał sobie, że kiedyś, gdy mu będzie dobrze, odwdzięczy się w pełni za słowa zachęty i opiekę jaką nad nim Briggs roztaczał.

A faktycznie rzecz miała się nieco odmiennie: Briggs nie był bynajmniej dobroczyńcą Craiga, jak ten to sobie wyobrażał, nie był też tak dobrotliwym staruszkiem, lecz poprostu mówił te morały i dawał mu zachęty jedynie dla swej własnej wygody. Mało bowiem kto był tak pilnym i świadomym swej odpowiedzialności jak właśnie Artur.

Osierocony wcześnie wychowywał się u dalekiego krewnego, który niby mu życzliwy, wcześnie oddał go do szkół, daleko od domu, wcześnie też wystarał się dla niego o bardzo nędznie płatną posadę.

— Musisz stanąć o własnych siłach! — perorował stary wuj Edward, gładząc swój siwy czub. Chłopak niewiele wtedy wiedział o samodzielności, mimo to jednak był zaszczycony tem dobrem pojęciem o sobie i już wtedy postanawiał stać się godnym przewidywań wuja

„Stanięcie" na własnych nogach było niczem innem jak źle płatną posadą u notarjusza, u którego całemi dniami musiał przepisywać jakieś sądowe papiery, zestawiać kolejność spraw i być na każde zawołanie gderliwego przełożonego. Ale to mu wystarczało.

— Trzeba zaczynać od małego! — pocieszał się, gdy mu bieda nieco zbyt dokuczała. Wogóle nie było człowieka bardziej umiejącego się pocieszyć, jak obecny lord Artur Craig. Z jakimś dziwnym optymizmem, z zupełnym brakiem buntu, tak zrozumiałym u młodego człowieka, Artur umiał wżyć się w każdą sytuację, umiał wytłómaczyć sobie wszystko na dobre, umiał z każdej rzeczy wyciągnąć naiwną dla siebie naukę.

A właściwie chodził po świecie jak lunatyk, nie widząc rzeczy naokoło, nie umiejąc zaobserwować ludzkiego podstępu, złości i kłamstwa. Według niego wszystkie ścieżki życiowe były proste i one jedynie, mogły zaprowadzić do celu. Wogóle w prostem ujęciu życia Artura istniały dwa od siebie ściśle odgrodzone czynniki: kara i nagroda. Wszędzie widział on nagrodzoną cnotę lub pognębiony występek, i ten prosty właśnie światopogląd dodawał mu w ciężkich chwilach otuchy.

Gdy wuj jego umarł, nie zapisując mu nawet jednego pensa, chociaż zaopatrzył hojnie dalekich swych krewnych, Artur widział w tem lekką nauczkę i czuł się raczej skruszony.

— Bolało go, żem tak długo do niego nie pisał — pomyślał i postanowił na przyszłość utrzymywać z rodziną obfitą korespondencję. Niestety trudno było to wykonać, gdyż poza stryjem, lordem Johnem nie miał żadnej rodziny, a lord John mieszkał na wsi gdzieś daleko w Szkocji i bynajmniej nie interesował się bratankiem.

Zwłaszcza zawody sportowe, na które nieraz uczęszczał, potwierdzały jego zdaniem poglądy na sprawiedliwość życiową. Widział tu wyraźnie jak osobista dzielność, dobry trening i zdolności odnoszą skutki i przysparzają laurów zawodnikowi. Pokrzepiony też wychodził z takich zawodów, będąc pewnym, że i on dzięki swej wytrwałości odniesie życiowy sukces. Właściwie to walka życiowa Artura Craiga prowadzona była jedynie pracą, poczuciem honoru i własnej godności i wiarą w przyszłość. Atuty te byłyby może wystarczające, gdyby towarzyszył im zmysł orjentacyjny, spryt czy inny jakiś przymiot bardziej współczesny. Niestety Artur Craig nie posiadał w swoim repertuarze życiowym tego rodzaju zalet.

Gdy kilka tygodni temu otrzymał list od pewnego adwokata londyńskiego powiadamiający go, że został generalnym sukcesorem niedawno zmarłego stryja lorda Johna Craiga, i że proszony jest, aby w ciągu tygodnia stawił się w biurze adwokata, celem dokonania ostatecznych formalności przed objęciem spadku, Artur czuł się nieomal zawstydzony tym niespodziewanym uśmiechem losu. Pierwszą jego myślą była Mabel, jego narzeczona, która pochylając swą piękną główkę nad Remingtonem w biurze pewnego magazyniera sukien damskich, myślała o wspólnej przyszłości. Jak ona się ucieszy, jaka będzie szczęśliwa! — przemknęła przez głowę Arturowi. Będą mogli założyć własny dom! Pracując od trzech lat w biurze Tow. Asekuracyjnego, Artur ani razu jeszcze nie prosił o dodatkowy urlop, to też nieco głupio mu było, gdy wstępując wolno na wielkie schody drugiego piętra, szedł do dyrektora z prośbą o darowanie mu dwóch dni, potrzebnych na podróż do Londynu. Ale zamiast groźnej miny, jakiej się spodziewał ujrzeć, zastał dyrektora uśmiechniętego i serdecznie wyciągającego doń rękę.

— Niech pan jedzie, i niech pan załatwi swoje sprawy. Bardzo nam miło, że pana spotkało takie szczęście! Mamy nadzieję, że i nadal pan, milordzie, nie zapomni o nas!

— Jacy ludzie są jednak życzliwi, i jak się ich źle osądza, — myślał świeżo upieczony lord schodząc do swego pokoju. Spodziewałem się awantury, a zostałem przyjęty jak najlepiej.

Pobyt w Londynie był pasmem niekończących się niespodzianek i oszałamiających przeżyć. Okazało się, że stryj jego zostawił piękny pałacyk w West-Endzie, który oczekiwał swego nowego pana, że kilkadziesiąt tysięcy funtów leżało do jego dyspozycji w banku, że wszystko było gotowe do objęcia po zapłaceniu wysokiego zresztą podatku spadkowego. Artur, który zatrzymał się w skromnym hoteliku w pobliżu dworca, udał się natychmiast do banku, by tam podjąć trochę pieniędzy celem zaopatrzenia się w nowy garnitur, nową walizę i kapelusz, nie mógł bowiem pokazać się wytwornej służbie swego stryja w dotychczasowym stroju. Z bijącem sercem kazał się wieźć taksówce do nowej siedziby.

Nad olbrzymiem miastem zapadł zmrok. Kontury szeregów domów zacierały się zwolna raz po raz tylko oświetlone światłem lamp łukowych. Ulice połyskiwały jakby posadzka świeżo froterowana: chłód unosił się nad miastem z powodu niedawnej ulewy. Jadąc ulicami Londynu, Artur oddawał się bezapelacyjnie nowemu rytmowi życia, które odtąd miało wchłonąć wszystko, co ludzie nazywają szczęściem. Stanowisko, powodzenie, pieniądze, młodość — wszystko stało się jego udziałem.

Powoli wyjeżdżali z gmatwaniny dużych i mniejszych ulic szczelnie obstawionych domami i zbliżali się do części miast, w której duże ogrody nadawały odmienny zupełnie charakter. Wysokie nieraz mury lub artystycznie wykonane sztachety, pałace i wille, parki, a nad wszystkiem tem szumiące wierzchołki drzew.

Wkońcu stanęli przed pałacykiem, który miał stać się własnością Artura. Zadzwonił przy wielkiej bramie, za którą majaczyły gęstwiny ogrodu. Po chwili zjawił się służący, który zabrał walizę Artura i milcząco poprowadził nowego pana do pałacu..

Wkrótce Artur znalazł się w swym pokoju sypialnym. Nie ochłonął jeszcze z wrażenia,

jakie na nim zrobiło to wspaniałe otoczenie, o jakiem czytywał wprawdzie w powieściach, ale nigdy się w niem nie znajdował. Cenne meble, obrazy, olbrzymie chińskie wazy, jakie stały w hallu, duże wygodne schody marmurowe, wszystko to wywarło na nim głębokie wrażenie. Miał tyle do obmyślenia, tyle wrażeń cisnęło się do jego głowy, tyle rzeczy musiał sam ze sobą załatwić, że pod pierwszym lepszym pretekstem odesłał służącego, oświadczając, że nikogo nie chce dziś widzieć, gdyż ma dużo listów do napisania i chce mieć zupełny spokój.

Wyszedł na balkon, by przyjrzeć się otoczeniu pałacu, a raczej by podumać nad dziwnym swoim losem. Nigdy tak plastycznie nieomal nie odczuwał zmiany swej sytuacji, egzotyczności nowego swego położenia, jak właśnie teraz, gdy oczy jego błądziły po gęstwinie parku, gdy wypatrywały światełka ukazujące się w domach na dalszym stojących planie.

— Pieniądz jednak stanowi o szczęściu człowieka! — rzekł półgłosem. Wnet jednak zadziwił się sam przed sobą wypowiedzianemi słowami. Był to pierwszy raz, kiedy przyznawał majątkowi tak dużą rolę w życiu. Dotychczas wychowany skromnie, a nieomal ubogo, szczęście upatrywał w samym człowieku, bez względu na jego majątek i sytuację życiową. Ale wszystko to, co przeżył, co go otaczało, nastroiło go jakoś dziwnie. Czuł się oszołomiony, przeniesiony na inną planetę, wyrwany z dawnego małego światka, pełnego drobnych codziennych spraw, które obecnie zbladły tak, jak gwiazdy bledną z nastaniem świtu.

Jego dawna egzystencja wydała mu się nadwyraz szara, marna, bez znaczenia. Czuł, że teraz będzie żył w dwójnasób, intensywnie, całą siłą swych dwudziestu pięciu lat. Być niezależnym, móc robić, co będzie mu się podobało, mieć wszystko i wszystkich na zawołanie! Co za rozkosz! Tam daleko żyją w dalszym ciągu ludzie, którzy zajęci swym losem, biegają po mieście, męczą się, nie dosypiają, nie dojadają, gdy on pozbył się tego wszystkiego i jest swym własnym panem.

Prosta jego logika życiowa starała się uporządkować te wszystkie zdarzenia, aby zyskać jasny, konkretny obraz. Ale zadużo było rzeczy do uporządkowania. Męczył się i nie mógł dojść do ładu.

Koło Artura poczęły krążyć wspomnienia. Przypomniał sobie fotografje rodziców, których prawie że nie znał,, przypomniał pierwsze lata swego dzieciństwa spędzone u wuja. Różne drobne epizody poczęły przybierać rozmiary wielkich przeżyć. Wszystko wspomnienia nieznaczące, codzienne, zwykłe. Aż wkońcu przyszła wielka chwila, wielka i bolesna zarazem: oddanie do szkoły. Dopiero gdy skończył szkoły, gdy przeszedł różne ciężkie chwile, przestał tęsknić za przybranym domem. Powoli wyrabiał sobie kilka życiowych przykazań i kanonów, któremi miał się nadal kierować. Wiedział, że jest porządnym chłopcem, że miał uczciwych i dobrych rodziców, których kochał, jak się kocha symbol niesprawdzalny.

Jakże był wdzięczny losowi za tę szczęśliwą zmianę sytuacji życiowej! Byłby chętnie pocieszył jakiegoś nieszczęśliwca, rozdał dużo pieniędzy między biednych. Ciesząc się swem szczęściem, postanowił nie zapomnieć o swych dawnych towarzyszach w biedzie i niepowodzeniu.

Pełen marzeń na przyszłość, pełen wzruszeń i dobrych postanowień, Artur, nowy pan pałacu położył się spać w dużem, staroświeckiem łożu, nad którem spoczywał duży atłasowy baldachim. Robiło to wrażenie trochę dziwaczne i przypominało historyczne filmy, które chętnie oglądał w kinie, ale niemniej spał smacznie i twardo. W nocy śniła mu się jego matka, która krzątała się po jakimś dużym wspaniałym domu. W pewnej chwili przygarnęła Artura do siebie, ucałowała go i zaczęła płakać. Płacz jej i ból, jaki rozdzierał jego serce na widok matki, były dominującemi reminiscencjami, jakie przedostały się z snu do świata realnego. Artur nie był przesądny, gdy jednak się obudził, dłuższą chwilę rozmyślał nad znaczeniem snu, nie mogąc go zrozumieć.

Lecz wkrótce sprawy bieżące pochłonęły go tak zupełnie, że z snu pozostało jedynie mgliste wrażenie. Młody lord począł powoli wchodzić w orbitę zainteresowań angielskiego towarzystwa, które na równi z innemi mieszkańcami Londynu poinformowane zostało przez prasę o nowym dziedzicu lordowskiego tytułu i dużej fortuny. Z poczuciem solidarności, właściwem angielskiemu społeczeństwu, nowi „koledzy“ lorda Artura poczęli nawiązywać z nim kontakt i stosunki bądź przez osobiste wizyty, bądź też przesyłając zaproszenia na różne garden-parties, five-o'clocki i inne imprezy towarzyskie. Witał te okazje poznania angielskiej arystokracji z niemałem zakłopotaniem, gdyż nie był człowiekiem par excellence towarzyskim, uznawał tylko dobrych znajomych, albo żadnych, i nie kwapił się bynajmniej grać rolę sensacji, która po pewnym czasie ustąpi nowej.

Zaledwie kilka osób, które poznał w ostatnich czasach zdołało zyskać jego zaufanie i sympatję. Między tymi nielicznymi znajdował się były minister dla kolonji sir Eryk Stanhope, którego dom uchodził w całym Londynie za jeden z najbardziej godnych i ciekawych pod względem doboru towarzystwa. Przyjęcia u państwa Stanhope, którym ton nadawał sam gospodarz, siwy gentleman o mądrem spojrzeniu i miła pani domu, były nietylko ewenementem towarzyskim, ale dawały gościom naprawdę dużo miłych podniet umysłowych w postaci dobranej i zawsze ciekawej konwersacji. Stary sir Eryk zdobył odrazu sympatję Artura, który postanowił swój debiut w wielkim świecie rozpocząć od wizyty u niego właśnie.

Sześćdziesiąte urodziny sir Eryka stały się świetną okazją do urządzenia w jego domu większego przyjęcia, na którem zjawić się miały najciekawsze postacie londyńskiego high-life'u. Dom zbudowany w szlachetnym angielskim stylu XVIII wieku Stanhopów, oświetlony był rzęsiście. Co chwila zajeżdżały wspaniałe auta, stanowiąc w cichej stosunkowo ulicy niezwykłe zjawisko. Lord Artur postanowił zjawić się dosyć późno, aby móc tem prędzej opuścić zebranie. Znalazłszy się w apartamentach ministra, Artur Craig doznał powtórnie nieznanego mu uczucia olśnienia, szczęścia, pełni radości. Piękne, wytworne sale ozdobione wielomа dziełami sztuki, urocze kobiety, mężczyźni dystyngowani, ciekawi, grający widać w życiu główne role, wszystko razem tworzyło ciekawy obraz dla młodego człowieka, który bywał jedynie na skromnych, koleżańskich piknikach lub też na zabawach, w których brali udział zwykli śmiertelnicy. Mimowoli silniej wrastał lord Artur w nową swą rolę i otoczenie, coraz silniej zdawał sobie sprawę z wartości pieniądza i sam nie wiedząc, jak się to działo, odkrywał w sobie pewien budzący się hedonizm.



— Witam pana, sir Aturze! — Gospodarz zbliżył się do młodego lorda i kordjalnie potrząsał mu prawicę. Mam nadzieję, że pan się będzie czuł u nas dobrze. Ale chciałem pana przedstawić pewnej osobie, która bardzo się panem interesuje. Jest to lady Patrycja Warren, literatka, artystka, wszystko, co pan chce. Bardzo zresztą urocza kobieta!

Po chwili Artur znalazł się sam na sam z przystojną kobietą, która poczęła już walczyć, zresztą skutecznie z niszczycielskim działaniem czasu, zachowała jednak jeszcze dużo uroku, czaru i dowcipu. Patrycja była znaną w Londynie entuzjastką sztuki, sama trochę literatka, dlatego też darowywano jej różne nieco ekscentryczne, a nawet niezbyt „poprawne“ epizody jej życia.

— Byłam ciekawa poznać człowieka, który naraz znalazł się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji życiowej i byłam ciekawa usłyszeć jego wrażenia — przywitała go. Jestem literatką i studjuję chętnie życie, przyglądając się jego różnym przemianom i niespodziankom.

Buduar, w którym siedzieli, był obity niebieskim jedwabiem, na dużym pięknym stole wykładanym szyldkretem, stał olbrzymi japoński wazon pełen żółtych, strzępiastych chryzantemów. Lord Artur poczuł się nieswojo: ta mądra, nieco tajemnicza kobieta, budziła w nim nieokreślone obawy. A może tylko nieco natarczywy sposób jej mówienia był mu niesympatyczny?

— Jak pan czuje się w roli nowego lorda Craiga?

Z trzeciego pokoju dolatywały dźwięki starego, sentymentalnego walca francuskiego, walca z czasów przedwojennych, pełnych w porównaniu z dzisiejszemi, uczuciowości, niedomówień, poezji...

— Postaram się godnie reprezentować nazwisko i stanowisko, jakie mi zostawił mój stryj... — odparł nieco zażenowany Artur.

— Młody człowieku! — Lady Patrycja przysunęła się do niego i dziwny, niemiły uśmiech ukazał się na jej twarzy. — Młody człowieku! Pan wchodzi w życie, nie zna pan jeszcze jego arkanów, tajemnic i przepaści. Chcę panu oddać pewną usługę, aby pana ustrzec przed tem, co mnie samą niegdyś doprowadziło do załamania się. Chcę pana przestrzec przed pozorami wielkiego świata, i wogóle przed pozorami życia. Niech pan nie liczy na to, co panu daje życie, niech pan liczy tylko na siebie, bo może to, co pan ma dzisiaj nie jest wcale pańską własnością.

— Nie rozumiem, dokąd pani zmierza — bąknął Artur, wpatrując się w lady Patrycję, jak musi się patrzeć człowiek, stanąwszy naprzeciwko jadowitego węża, który za chwilę oplecie go swem potężnem cielskiem. Atmosfera stawała się z chwili na chwilę bardziej ciężka, tragiczna. Zdawało mu się, że nie jest na przyjęciu u znajomych, lecz przed trybunałem sądu. Grozy dodawały jeszcze niefrasobliwe dźwięki walca, tak nie harmonizujące z słowami i wyrazem twarzy Patrycji.

— Będę szczerą, drogi lordzie Arturze. Pańskie życie nastawione było na pracę, na

Dokończenie na str. 31-ej.

MARYNARKA WOJENNA

Szumi i huczy polskie morze, rosząc białemi bryzgami piany granitowe granice lechickiej krainy. Opowiada o dawnych dziejach, gdy Polska trzymała straż nad morzem, o latach, gdy lud pomorski tęsknił do Macierzy i wreszcie — o odzyskaniu prastarych naszych praw do morza, o cudzie Gdyni i o rosnącej potędze naszej floty.

Mamy już doskonałe statki handlowe, luksusowe okręty pasażerskie, ale oczy świata zwrócone są na naszą marynarkę wojenną. Wiedzą bowiem zarówno nasi przyjaciele, jak i wrogowie, że tylko silna flota wojenna potrafi zapewnić nam niezachwiane stanowisko nad Bałtykiem. My również pamiętaliśmy od zarania naszych „morskich" rządów, że *„si vis pacem, para bellum"*...

Co roku dowiadywaliśmy się o spuszczeniu na wodę nowych jednostek naszej morskiej siły: były to jakby nowe akcenty, któremi podkreślaliśmy nasze słuszne żądania.

— Jesteśmy silni i potrafimy uniezależnić się od potężnych sąsiadów! — mówiliśmy, budując Gdynię.

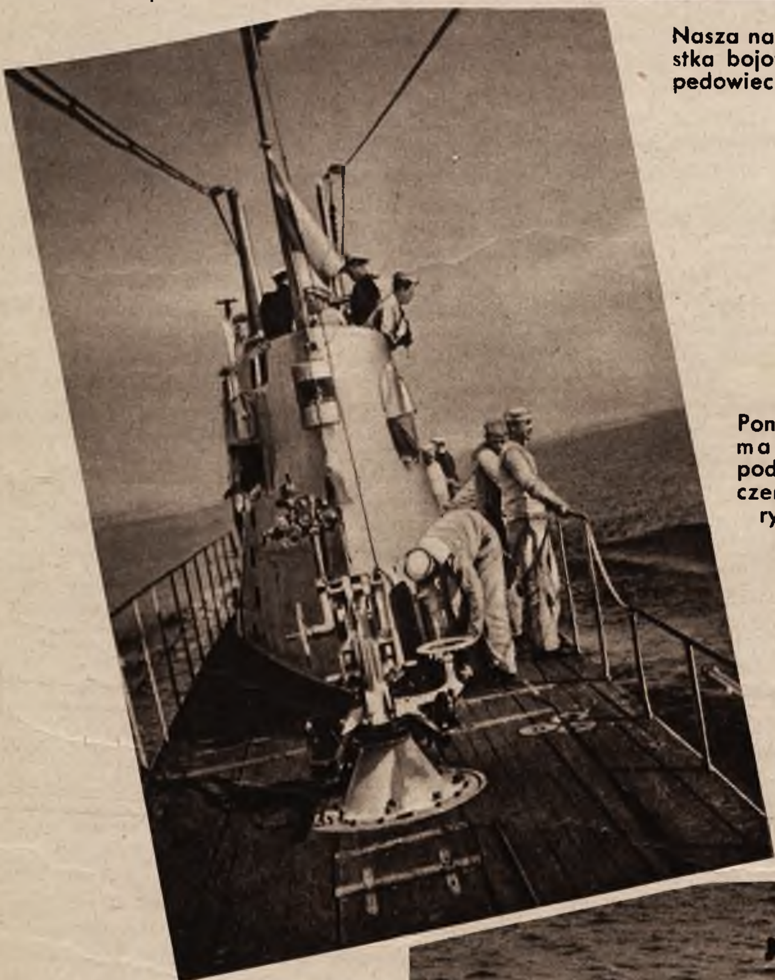
— *Żądamy kolonij!* — mówimy, prezentując nowe statki bojowe.

Dziś możemy być pewni, że nasze żądania nie pozostaną bez echa. Zrealizowało się hasło odzyskania dostępu do morza — ziści się również marzenie o kolonjach! Tembardziej, że niema już nikogo, kto nie rozumiałby wielkich zadań *Ligi Morskiej i Kolonjalnej*, instytucji, która niezmordowanie pracuje nad ugruntowaniem potęgi Polski na morzu. Dziś wszyscy gremjalnie gromadzą się pod jej znakiem!



Nasza najnowsza jednostka bojowa — kontrtorpedowiec O. R. P. „Grom"

Poniżej: Marynarze, pełniący służbę przy wieżyczce łodzi podwodnej.



Poniżej: Trawler O. R. P. „Mewa" wykonany został całkowicie w kraju.



Poniżej: Nasi marynarze podczas ćwiczeń artyleryjskich.



BOGUMIŁ BONIECKI

SYRENA

OPOWIEŚĆ MARYNARSKA

Polecono mi zmienić żeglarza Morsztyna. Przeniknięty jeszcze błogością ciepłej koii, z której tylko co wyrwał mnie rozkaz starszego żeglarza i szelesty gorączkowo wciąganej odzieży przez kolegów z mojej wachty, wytrącony z równowagi chwiejnością podłogi statku, która w wyimaginowanie różnych słaniała się kierunkach, szedłem do miejsca jego stanowiska, niedość pewnie, powoli. Trzeba było zresztą zorjentować się w sytuacji, gdyż Morsztyn był doskonałym żeglarzem i nie chciałem, obejmując po nim służbę, być w czemś ubiegnięty. Nasze wzajemne ambicje nie pozwalały, by któryś inny wcześniej spostrzegł jakieś światło, ląd, zmianę kursu, czy nawet cień nieoświetlonego, przemykającego się nocą, statku strażniczego Tembardziej, jeśli się obejmowało służbę „oka" na dziobie, na szkolnym statku.

Wnikałem przeto z natężeniem w dal nocy całą swoją istotą, aż w szeroko otwieranych oczach, z których jednocześnie wilgotnawe podmuchy wiatru resztę sennych, miłych widziadeł rozwiewały — czułem ból. Dreszcz mną wstrząsnął raz i drugi — oprzytomniałem zupełnie.

Rzuciwszy jeszcze okiem na gwiazdy, szlak piany za rufą statku, żywszym krokiem zbliżyłem się do miejsca wachty.

Morsztyn nie słyszał mego przybycia. Wiatr znosił poza mnie szmery płaszcza i ciche kroki.

Od dziobu szedł cichszy, to znowu bardziej wyrazisty świegot kropelek, tryskających z rozpruwanej piersią żaglowca powierzchni morza, który dźwięczał chwilami cichą melodją. Urocza była noc. Prawie ciepła. Łagodny wiatr nie mącił powierzchni wód. Wielkie wydęte skrzydła żagli kłoniły się cicho pod jego tchnieniem. Morzem kołysała długa, łagodna fala. Dal ciemna, bliżej szaro, a na tle tem uwypuklona mrocznem światłem księżyca, zupełnie czarno wrzynała się w horyzont, sylwetka wartownika.

Patrzyłem nań zbliska. Wpleciony jakby w sieci lin, których drogi gubiły się gdzieś wśród gwiazd na topach masztów siedział nieruchomo. Już otwierałem usta z szablonowem „melduję" — gdy na policzku jego zabłysnęła łza.

Mały punkcik toczył się wolno, zabłysnął raz jeszcze i zagubił się w ciemnych zwojach, twardych, rzuconych pod burtą lin.

Zmieszałem się.

Niemożliwe by to była łza wytężenia wzroku, czy wyciśnięta wichrem, — niemożliwe. — Płakał.

Stałem, nie śmiejąc się odezwać; zdawało mi się, jakbym przyszedł nie w porę; stałem się mimowoli niepotrzebnym świadkiem. Czułem się czemuś winien, a wycofać się nie mogłem, tam oficer czekał na zameldowanie zmian. Targnęło mną niezadowolenie, że wachta nie wydzwaniała godzin nocnych. Okrętowy dzwon byłby go uprzedził o mojem przybyciu, ale jękliwe jego serce wisiało tuż nad otwartemi lukami podpokładzia, z których szedł ciepły mrok i przeciągłe, chrapliwe oddechy zmęczonych, zawieszonych w hamakach pod pułapem ciał ludzkich.

Dziwną mi się wydała ta noc. Tysiąc myśli w krótkich chwilach przemknęło przez głowę. Księżyc, jak sierp cygańskiego kolczyka, srebrzył naszą włóczęgowską dolę. Rzadkie, raczej cienie chmurek, niż chmurki przyćmiewały jego zimne światło, to niknąc zupełnie pozwalały płynąć z nieba, w migotliwych bladych skrach, długiej drodze smętku, sięgającej bladą poświatą naszych burt

W zmieszanie moje wsączał się smutek i zdziwienie.

Niezwykły ten Morsztyn! Był dla mnie wzorem twardego żeglarza. Człowiekiem, którego nic nie interesowało poza służbą i morzem, poważny, obojętny w stosunku do otoczenia, nie dbający o zdania kolegów i serdeczność, raczej odludek i sybaryta, w odnoszeniu do innych drwiący, unikający rozmów o kobietach, przesypia na odosobnieniu cały wolny czas, chłonie jedynie wichry, morze, żeglarkę. Dziwny.

Przypominają mi się jego uśmiechnięte do mnie oczy, raz jeden, gdy wchodził podczas silnego sztormu po wantach na maszt, jakby mówił wtedy spojrzeniem: to lubię. Ja zaś patrzyłem niby nowicjusz, gdy on z najwyższą swobodą czepiał się lin coraz wyżej, wśród rozszalałego wichru, na walących się z rozpędem ku wodzie masztach. Dziwiłem się wówczas jego mężnemu sercu, jak dziś się dziwię łzom.

Świetny, doświadczony żeglarz. Włóczy się od kilku lat na kopenhaskie rejsy przy każdej okazji, statkiem czy jachtami; drogę zna bez locji jak stary pilot, każdą boję, każdą wiechę, światło, wyspę. Nie dziwiło mnie, że on właśnie pełnił wachtę tak przed zaoczeniem lądu w stronę Kopenhogi, jak i obecnie w odrodze powrotnej.

Słyszałem, że wielu marynarzy kocha się w Kopenhadze w pewnej, ślicznej dziewczynie; dziewczynie o linjach ciała tak harmonijnie pięknych, na jakie stać tylko natchnioną duszę artysty; dziewczynie o słodkiej twarzy i dobrem sercu — o sercu, które nie zdradza. Nigdy i nikogo. Pięknej syrenie

Myśl moja pobiegła błyskawicznie do naszego wczorajszego spotkania na nadbrzeżu, gdy Morsztyn stał w pobliżu rzeźby owej syreny z przeraźliwym smutkiem w oczach, chęcią pozbycia się mnie pod pretekstem załatwienia jeszcze interesów w mieście.

Zacząłem nabierać przeświadczenia, kojarzyć nagle, gdy oto w tej chwili Morsztyn przesunął oczyma po horyzoncie daleko wstecz w lewo i prawo i zobaczył mnie.

Drgnął. Zerwał się.

W tej chwili meldowałem objęcie służby.

Przyglądał mi się bacznie, zbliska, twarz w twarz, stanąwszy tyłem do światła.

— Widziałeś? Tak. — Bo widzisz nie wiem, czy do niej jeszcze kiedy wrócę... Zrozumiałem wszystko. Jego długie, wieczorne, wczoraj wpatrywanie się w znikającą w oddali postać dziewczyny, jego służbę prawie całonocną na własne zgłoszenie, jego życie dziwne i samotne, jego nawroty rok roczne do Kopenhagi i oburzenie w głosie, gdy pytał — „widziałeś" — i milczące odejście.

Tak. Przecudna, smutna dziewczyna z Kopenhagi — syrena, warta jego miłości

Ona wiernie kocha ich, ludzi dzikiego morza, marynarzy, którzy przybywają do niej z dalekich lądów, uwodzi ich urokiem swoich dziewczęcych kształtów, a siadłszy samotnie na głazie, dalekiem, smętnem spojrzeniem żegna ich i oczekuje.

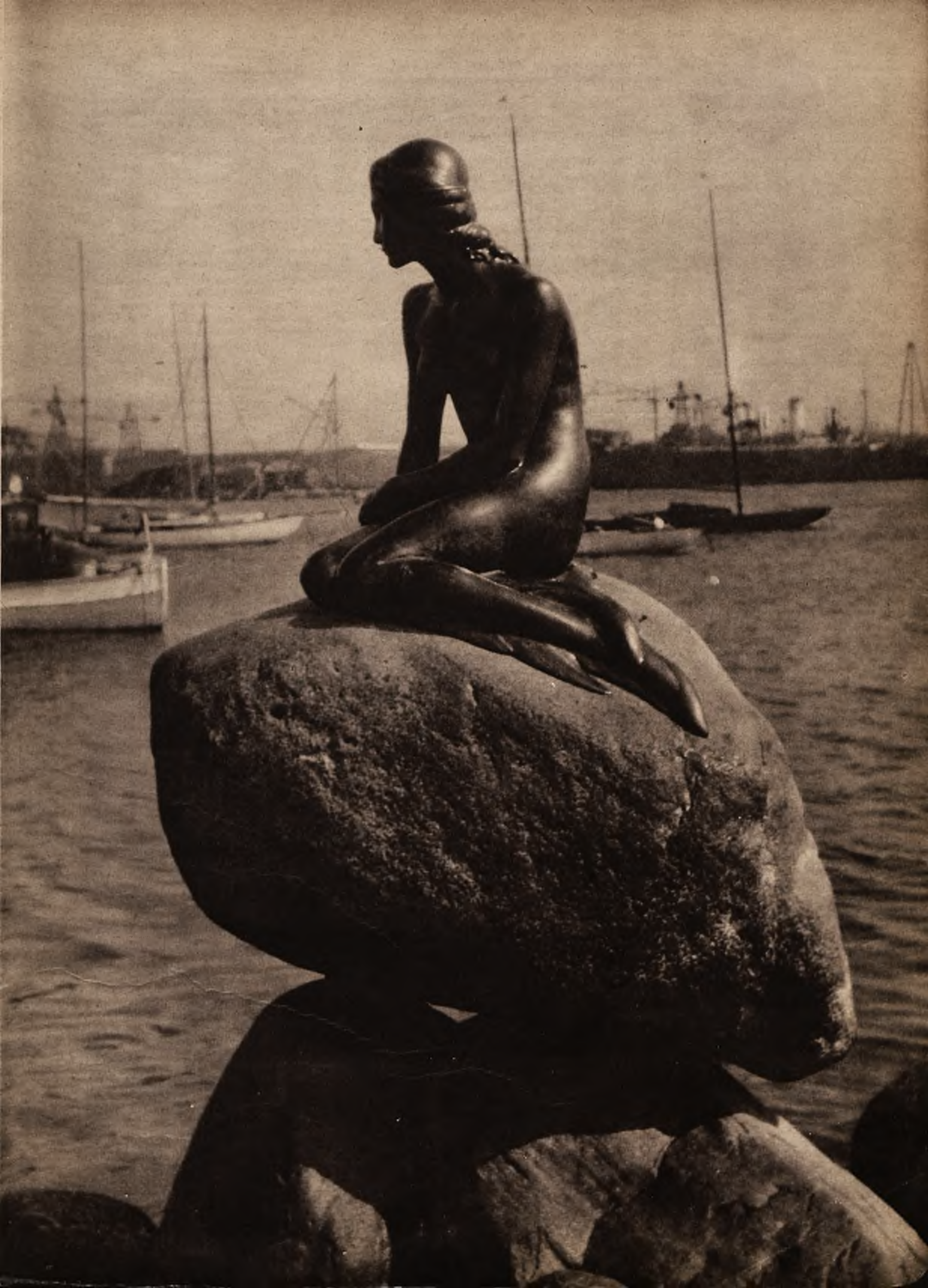
Dokończenie z str. 8-ej.

lewej — katedra, dawne cesarskie mauzoleum. U bram jego czuwa ostatni z czterech nubijskich sfinksów, które niegdyś trzymały straż przy sarkofagu Djoklecjana. W 9 w. mauzoleum zamieniono na katedrę, a po cesarskim sarkofagu nie pozostał żaden ślad, tylko we wnętrzu zachowane wśród fryzów pod kopułą, nakrywającą potężny oktogon, medaljony z portretami Djoklecjana i żony jego Pryski, świadczą o dawnem jego przeznaczeniu, jak również wizerunek boga śmierci — Hermesa Psychopomposa. Na miejscu dawnego przedsionka gorąca wiara średniowiecza wzniosła strzelistą kampanję; — na pamiątki rzymskiego panowania padł cień krzyża...

W środku perystylu wznosi się dziś potężny pomnik biskupa Grzegorza z Ninu, dłuta największego genjusza tej ziemi, Iwana Mestrovića. Wiele było sporów i dyskusyj, czy dobrze zrobiono umieszczając w tem miejscu dzieło nowoczesnej plastyki, olbrzymich rozmiarów, przytłaczające jakoby swym ogromem otoczenie, nie harmonizujące ze stylem późno antycznej architektury perystylu. Ale wielki, samotny, słowiański biskup stoi tam nadal, zakrzepły w patetycznym wyrazie, jaki nadał mu wielki słowiański rzeźbiarz...

Błądząc po mieście co krok spotyka się widma przeszłości: tu jakiś pałac wybiega ku górze ostrołukami swych weneckich okien, tu nad starym, nawpół skruszałym portalem widnieją tarcze herbowe patrycjuszowskich rodzin Splitu. Tam znów pomiędzy ubogiemi domkami, biegną fragmenty starych rzymskich łuków, a obok gotycki klasztorek zaprasza nas chłodem swego dziedzińca, gdzie wśród kwitnących laurów szemrze perliście wodotrysk. Echa antyku przeplatają się wciąż ze wspomnieniami średniowiecza, renesansowe attyki wybiegają poza masywy romańskich murów, łączą się style w jakąś misterną, nie do rozwikłania sieć, oplatającą to miasto przeszłości... I tylko zda się współczesność nie śmie tu wtargnąć: dzisiejszy rozwój miasta wybiega daleko poza mury cesarskiego pałacu. Stary Split pozostał wierny echom przeszłości...

Ewa Mieroszewska.



Na północnym szlaku:



LAPONJA

Ilustracje mojej szkolnej geografji przedstawiały Lapończyków, jako uosobienie potwornej wprost brzydoty, to też gdy na jednym z postoi między Ivalo a Liinahamari ujrzałam całą ich gromadę, zdumienie moje nie miało granic. Drobni, smagli o wąskich oczach prezentują się malowniczo w swych barwnych strojach. Noszą bowiem wielkie rogate czapy (przypominające w karykaturze krakowskie rogatywki), granatowe, nisko na biodrach kolorowym pasem przewiązane bluzy i zabawne, o wgórę zakręconych nosach, buty.

Spokojni i pełni godności, zaznaczają przez tłumacza, iż „są Lapończykami, a nie Finnami" — to nieliczne plemię bowiem odnosi się do osiedlających się na północy Finnów z pewnem poczuciem wyższości — jako prawi odwieczni mieszkańcy kraju wobec „parwenjuszowskich" przybyszów.

Przynieśli tutaj na sprzedaż wielkie jesienne, krótką sierścią pokryte rogi rena i teraz wraz ze swemi niskiemi krępemi kobietami obsiedli z powagą ławy pod ścianami „kahwile". Kręcą się u ich stóp dwa prześliczne lapońskie psy — słynne z inteligencji i wierności. Przypominają nieco nasze owczarki, są jednak mniejsze i sierść mają bardziej jedwabistą, przeważnie żółtą.

Usiłujemy rozpocząć targi z grupką milczących niewiast. Ich czerwone haftowane czapki, w kształcie kominiarek, oraz kute srebrne brosze, spinające zarzucone na ramiona chusteczki, wydają się nam niesłychanie dekoracyjne.

Tłumacza mamy znakomitego, to miejscowy nauczyciel ludowy. Objaśnia nas on, że Lapończycy są niezmiernie zdolni, sprytni, inteligentni, ambitni i temi zaletami prześcigają znacznie miejscowych Finnów. Są wszyscy zwolnieni ze służby wojskowej, bowiem przeniesieni ze swego chmurnego kraju, słabną, zapadają na dziwną jakąś i nieokreśloną chorobę — wreszcie umierają.

Lapończycy dochodzą naogół do dużej zamożności. Trudnią się potrochu rybołówstwem, a głównie hodowlą renów i posiadają stada po 1000—1500, a nawet 2000 sztuk, co stanowi tutaj prawdziwy majątek.

Właśnie zdołaliśmy nieco rozruszać naszych nowych znajomych i skłonić ich do zrobienia fotograficznego zdjęcia, gdy chrapliwy sygnał autobusu wzywa nas znowu w drogę.

Ruszamy. Nasz konduktor, będący jednocześnie urzędnikiem pocztowym, nieustannie wiąże rulony gazet, których olbrzymi stos piętrzy się na podłodze wozu. Patrzę ze zdumieniem na tę niewiarygodną ilość pism; czy możliwe, by tu, w Laponji, znajdowało się aż tylu abonentów?

Tak jest jednak istotnie. W kraju, gdzie przestrzeń 13 tys. km zamieszkuje 2 tysiące ludzi (część północna odstąpiona Finlandji przez Rosję), co kilkaset kroków „wyrzucamy" przynajmniej jeden dziennik. Mówię „wyrzucamy", przeważnie bowiem autocar nie staje, zwalnia tylko około ustawionego na niewysokim słupku drewnianego pudełka z pokrywką w kształcie daszku. By nie tracić czasu, konduktor upuszcza przesyłkę obok na ziemię. Wobec pogody może sobie na to pozwolić.

Czasem na takiej prymitywnej skrzynce pocztowej, stoi maleńka narodowa chorągiewka: znak, że wewnątrz znajduje się list czy paczka oraz pieniądze na opłatę pocztową. Mieszkańcy głębokich czarnych lasów, nie mając gdzie kupić marek, w ten sposób wysyłają swoją korespondencję, a nawet przekazy pieniężne. W „dzikiej" Laponji jest nie do pomyślenia, by ktokolwiek mógł ruszyć pozostawioną, dosłownie na drodze, cudzą gotówkę.

Krajobraz staje się smutniejszy. Coraz rzadsze, coraz bardziej poszarpane i karłowate są lasy, coraz liczniejsze spękane skały, powyrywane pnie i białe płaty mchu. Mijamy szerokie przestrzenie tundr i prostą pustą szosą wznosimy się wciąż w górę i w górę. Przebywamy czarne, ciche, smutne Petsamontunturi. Droga nasza wiedzie wzdłuż wielkich martwych jezior, koło kryształowych rzek, nad któremi czasem dojrzeć można stojące krzywo między karłowatemi drzewami luksusowe auto z literami GB. — To bogaci Anglicy, namiętni amatorzy połowu łososia dobrnęli aż tutaj ze swemi ko sztownemi maszynami.

Znów wielkie skłębione obłoki zaległy niebo — przelatują krótkie gwałtowne deszcze. Nasz autobus pędzi coraz szybciej, jakby chcąc uciec od smutku i beznadziejności mijanych widoków. To już prawie pustynia. Wielkie i małe, lite i spękane głazy, karłowate brzózki, mchy i pełzające rośliny zalegają wielkie bez końca przestrzenie i stoki. A wszystko skurczone, pogięte, bolesne, wszystko jakieś niepewne, jakieś przerażone. Pod tym ciemnym niskim niebem, nawet skały tak zawsze groźne i niewzruszone zdają się zepchnięte tutaj i porzucone tylko na chwilę.

Biegnąca przez czarne lapońskie lasy, ku



Mała przystań na fiordach.



Na lewo: Przewożenie autobusu promem przez Ounasjoki.



Zwały suszonych ryb czekają w nadbrzeżnej wsi lapońskiej na wysyłkę.



Ulica w Hammerfest.



Oto często spotykany w Laponji widok: las ogołocony z gałęzi przez silne wichry.

wybrzeżom oceanu lodowatego autostrada okazuje się znakomita, równa jak stół.

Zbudowana ogromnym wysiłkiem przed kilku laty jest pierwszym krokiem do udostępnienia przystani nad fjordem Petsamo, który w przyszłości stać się ma wielkim i ważnym portem. Ocean Lodowaty bowiem (widocznie przez „esprit de contradiction" przyrody) jest dzięki wpływom Golfstromu, nigdy nie zamarzającem morzem Finlandji. Dla państwa eksportującego wszystko drogą wodną, wybudowanie wielkiego portu nad jego brzegiem posiada pierwszorzędne znaczenie.

Pięknemi wielkiemi łukami szosa nasza zbiega ku dolinie Petsamojoki. Wielkie, czarne nagie zbocza gór opadają ku wodom rzeki, nad którą wąskim pasem ciągnie się smuga karłowatej ciemnej zieleni. Nagle z sykiem przypominającym westchnienie ulgi autocar zatrzymuje się nagle.

Naraz wyłania się przed nami biała i pękata cerkiew! Teraz dopiero przypominamy sobie, że ta część Laponji przez długie lata (do r. 1920) należąca do Rosji, jest prawosławna, że znajduje się tu jeszcze kilka starych monastyrów, że zbliżamy się do słynnej ongiś Peczehgi. Tu w niższym Yläluostari niema już mnichów, resztki ich dożywają swoich dni dalej w górach, w starym klasztorze. Podobno rząd fiński odnosi się tu na północy bardzo niechętnie do prawosławia, a nawet znosi cerkwie, budując w ich miejsce kościoły. Ile jest prawdy w tych prywatnych informacjach nie zdołałam stwierdzić.

Przebywamy ostatnie kilometry arktycznej autostrady. Po obu stronach doliny wznoszą się groźne, nagie — coraz bardziej ponure, coraz bardziej puste szczyty. Czarne ich ściany, poryte rozpadlinami, zbliżają się chwilami tak bardzo, że zdają się pochylać nad wątłą linją szosy. Zrywa się ostry, zimny wiatr.

Na płaskiem wybrzeżu rzeki stoi mały kościółek, kilka domków. To miasteczko Petsamo — tu jest ujście Petsamojoki, skąd droga nasza biegnie wzdłuż fjordu, gdzie



Zatoka na dalekiej Północy.
WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. MARJA KRZEWSKA

szara, spokojna i obojętna — marszczy się woda oceanu.

Jeszcze kilka ostatnich kilometrów, jeszcze kilka pięknie widokowo poprowadzonych zakosów — i nagle czarne ściany Petsamontunturi rozbiegają się na boki, prostopadle opadają w dół, a na małym skrawku ziemi u ich stóp, kilka wątłych drewnianych domków zdaje się kurczyć pod huczącemi uderzeniami wichru. Przed nami potężny, groźny, niosący na czarnych falach pióropusze piany — szumi ocean Lodowaty. Jesteśmy w Liinahamari.

II.

Ostatnią noc w Finlandji spędzamy znowu w znakomitym Liinahamari tourist Inn, którego pieczątka głosi „325 miles North of the Arctic Circle".

Wielki drewniany budynek hotelu jest jedyną większą i jaśniejszą budowlą w maleńkiej, przerażająco smutnej rybackiej osadzie. Chodząc po wąskiem drewnianem molo, patrząc na porządne, ale jakże drobne i bezradne nieliczne domki, na potężne, wielkie, wznoszące się tuż czarne ściany gór — wyobrazić sobie nie mogę tego wielkiego ruchliwego portu, jakim Liinahamari stać się ma za lat parę.

Teraz krążą tu tylko dwa czy trzy towarowo-pasażerskie stateczki, łączące tę finlandzką przystań z granicą sowiecką na wschodzie i granicą norweską w Kirkenes. Tam właśnie wiezie nas biały parowczyk w smutny pochmurny ranek. Mijamy najsmutniejszą część naszej trasy. Czarne skłębione chmury przewalają się nad rozpaczliwie pustemi ścianami czarnych gór, czarna spieniona woda uderza z głuchym szumem o poszarpane, stromo ku wodzie opadające skały — potężny wiatr jęczy i huczy — a mewy z rozpaczliwym wrzaskiem krążą wokół pokładu.

Tu na całem wybrzeżu aż poza Nordkap słońce świeci zaledwie kilka dni w roku, a siwe smugi mgieł wiją się w fantastycznych kształtach wzdłuż wybrzeży.

Potężny przerażający w swej grozie cypel Nordkapu ujrzeliśmy również spowity w ich niesamowitą zasłonę. Czarny, zupełnie nagi, poryty smugami szczelin opada ku wodzie prostopadłemi ścianami, o które walą z sykiem białe spienione fale oceanu. Jest tak srogi, niedostępny, straszliwy w zwojach szarych mgieł, że głucha cisza zalega pokład i każdy zadaje sobie pytanie czy w bliskości tego groźnego olbrzyma żyć może jakiekolwiek żywe stworzenie? Nagle jakby w odpowiedzi — z pomiędzy skał wyfruwa stado mew, krążące z wrzaskiem nad rybacką łodzią, której uszczęśliwiona załoga pokazuje nam zdala półtorametrowego ułowionego łososia.

W naszej wędrówce „zahaczyliśmy" również o najbardziej na północ wysunięte w Europie miasto — Hammerfest. Przytulone do stromych skalistych zboczy gór, składa się ono z kilkunastu uliczek, zabudowanych śmiesznemi kolorowemi domkami. Istnieje tu bowiem zabawny — może surowością krajobrazu spowodowany — zwyczaj malowania tych drewnianych budyneczków o śpiczastych dachach, żywemi barwami.

Stoją zatem jeden za drugim: różowy, niebieski, zielony, żółty, co w jasnem świetle słońca robi naprawdę wesołe wrażenie.

Przy niektórych, wielkim szczelnym od wichrów chroniącym płotem otoczony — ogródek. Na maleńkim skrawku ziemi karłowate brzózki, jakieś rośliny, przypominające chłopskie nagiętki i kępy zielonej trawy. Niewiele więcej można wyhodować pod tą szerokością geograficzną.

(Dokończenie na str. 22).

Poniżej: Potężne pasmo górskie Petsamontenturi, porośnięte jest ubogą florą.



Poniżej: Statek wypływa z fjordu na pełne morze.



NA MORZU tonie człowiek!



Powyżej: Dostać się na morze poprzez dużą falę, to rzecz nie łatwa... — Na prawo: Łódź kolumny ratowniczej w akcji...



Podziwu godną jest odwaga tych jednostek, które z narażeniem własnego życia ratują bliźnich z objęć niechybnej śmierci. Czy będzie to pożar, czy powódź, trzęsienie ziemi lub inna katastrofa żywiołowa — wszędzie tam pośpieszą kolumny bezimiennych bohaterów, których nazwiska pozostaną nieznane, a czyn tylko, godny dłuta i marmuru, zajaśnieje jak meteor na horyzoncie szarzyzny ludzkiej niedoli i olśni chwilowym blaskiem altruizmu i poświęcenia.

Na morzu i nad jego brzegami nieraz już człowiek walczył o swe życie i wtedy na zew tragicznego S. O. S. wyruszały kolumny ratownicze, które nie bacząc na rozszalały żywioł, docierały do miejsca katastrofy, niosąc nieraz w ostatnich sekundach wybawienie. Na naszych zdjęciach widzimy w akcji jedną z takich kolumn ratowniczych, zorganizowaną w Sydney w Australji, gdzie częste burze dają się we znaki nie tylko rybakom na połowach, ale i kąpiącej się publiczności. Członkowie kolumny, to doskonale wyszkoleni pływacy. Nic więc dziwnego, że umieją oni walczyć z morzem, nawet wówczas, gdy jest bardzo zagniewane.

J. L.



Na lewo: Od szybkości pracy rąk ratownika zależy nieraz życie tonącego...





Od lewej: Kolumna „Nord-Bondi" z Sydney wyrusza na brzeg... — Zabezpieczony liną, przywiązaną do pasa korkowego, startuje ratownik na pomoc tonącemu...

Poniżej od lewej: Pozostali członkowie kolumny ratowniczej naddają linę w ślad za płynącym... — Ratownik powrócił z wody z tonącym, którego przenoszą już inni...





POLSCY GLOBTROTTERZY



Na stole leży duża mapa pokreślona niezliczonemi linjami kolejowemi. Nerwowym palcem przebiega młody człowiek dalekie przestrzenie, robiąc jakby próbną podróż, zanim zapakuje kuferki i naprawdę wybierze się w szeroki świat. A kuferki, dwa skórzane płaskie, nowoczesne — czekają cierpliwie na hasło podróżne. Sycylja, Neapol, Saint-Jean de-Luz, lub też Skandynawja, fjordy? A może pozostać w granicach PKP i pojechać na Polesie, do kraju Hucułów lub też na Litwę, albo do jakiegoś Morszyna, Krynicy, Rabki, Żegiestowa? Trudna decyzja, trudna, ale tylko zasadniczo! O ile plany poparte są odpowiednią książeczką czekową, pryskają trudności. Wkrótce znajdziemy się na dworcu, na szyny zajedzie prychający parą smok żelazny, za którym wlecze się jego długie cielsko w postaci wygodnych wagonów, a za dzień lub półtora wsiadać może będziemy na statek, na którym owionie nas fala morskich zapachów, woni smoły, sznurów, smarów i jakichś nieokreślonych składników I jeszcze kilka godzin przejdzie, a znajdziemy się na pełnem morzu, na którem znajdziemy niemal to wszystko, co drogie nam jest na stałym lądzie: komfort i nasze przyzwyczajenia.

Inne obrazy stawały w oczach wojażerom przeszłości, wybierającym się wdal. Przed dworem w Świedziebnej pod Warszawą stoi już powóz zaprzężony w cztery bułanki. Woźnica Maciej poprawia jeszcze to i owo przy zaprzęgu, dogląda czy kufry dobrze są umieszczone z tyłu powozu i dobrze przytwierdzone do pudła pasami, ogląda podkowy koniom. Podróż niebyle jaka: spod Warszawy księżna pani jedzie do Bielic w Prusach, do stryja, a stamtąd po pewnym czasie jadą do Paryża. Ha! Nie można inaczej. Ostatnie powstanie, które dogasa wzbudziło drapieżność władz rosyjskich, tępiących wszelkie pozostałości po r. 1831. Marjanna Światopłk Mirska, żona uczestnika powstania, to jedna z wielu ofiar, która jedzie na emigrację, nie wiedząc czy wogóle wróci. Te podróże to najsmutniejszy szlak naszej turystyki przeszłości: zresztą nie pierwszy i nie ostatni. Zaczął się z powodów politycznych już w końcu XVIII. wieku, na dobre szlak ten zaroił się podróżnikami po r. 1831. i 1863, ale przetrwał do naszych dni, kiedy to podczas wojny światowej Paryż i Szwajcarja stały się ośrodkami polskiej nieoficjalnej polityki zagranicznej.

Zobaczmyż, jakie drogi łączyły w dawnych czasach Polskę z zagranicą, jakiemi były szlaki naszej turystyki, gdyż śmiało możemy mówić o polskiej turystyce w przeszłosci i bynajmniej nie potrzebujemy ustępować miejsca przysłowiowym i klasycznym globtrotterom — Anglikom. Znalazłoby się nawet sporo cech podobnych między turystami angielskimi globtrotterami a polskimi turystami. I jedni i drudzy uznawali przedewszystkiem wygodę w podróży i z tego też powodu zjawiali się z olbrzymim dworem, z licznemi furgonami i karetami, jednem słowem przenosili się z całym domem. Tępiciele „wschodnich cech" w charakterze Polaka zarzucą, że i to jest przywarą wziętą ze wschodu: ale przypomnijmy im, że to samo spotykamy u najbardziej „zachodnich" Anglików. Gdy pewnego pięknego południa r. 1822 wyruszyła z Londynu rodzina lorda Blessington, karawana jego obejmowała poza kilkoma karetami, wozy naładowane meblami, kuframi, sprzętami kuchennemi i podręczną bibljoteką, a lady Blessington nie zapomniała również o swojem ulubionem łóżku. Nic dziwnego, że w tych warunkach podróż z Paryża do Awinionu trwała całe 30 dni! Ludzie ówcześni kochali się poprostu w komforcie, wprawdzie innym jak dzisiejszy, cięższym, bardziej osobistym i niezrozumiałym, ale w każdym razie komforcie.

Poniżej: Pomnik królewicza Aleksandra Sobieskiego w kościele OO. Kapucynów w Rzymie.





Plac króla Stanisława w Nancy, dawnej rezydencji tego monarchy. Zdjęcie dokonane w czasie pogrzebu marszałka Francji — Lyautey.

Otóż kilka zasadniczych celów przyświecało turystyce dawnych Polaków. Przedewszystkiem nauka, następnie również powody polityczne, wkońcu niektórzy uprawiali „czystą" turystykę dla rozrywki, dla ogólnego wykształcenia i poznania obcych krajów. Że dużo u nas podróżowano i to nietylko w sferach najbogatszych, ale również średniej zamożności, świadczy o tem choćby utwór Ignacego Krasickiego „Przygody imć pana Doświadczyńskiego", w którym przedstawia on obraz trybu życia młodego człowieka zamożnej, ale nie magnackiej rodziny, odbywającego wielką podróż po Europie.

Od XV-go wieku aż do końca Rzeczypospolitej bardzo wielu młodych ludzi jedzie na studja do Włoch, a przedewszystkiem do Padwy i Bolonji, ale też do Rzymu, zwłaszcza do seminarjów duchownych. Ale nie brak też studentów polskich w Sorbonie. Przecież Jan Kochanowski należał do jej studentów, a gdy w r. 1646 dwaj bracia Sobiescy wybrali się na „wojaż" po świecie, zwiedzili przedewszystkiem Niemcy, Holandję, Francję i Anglję. Jak wiemy późniejszy król polski zaciągnął się również do kompanji czerwonych muszkieterów kardynała de Richelieu, by i Bellonie francuskiej złożyć swój hołd. A ileż takich było młodych ludzi, którzy zawód wojskowy rozpoczynali od treningu zagranicą! Słynny w historji ze swego buntu Michał Gliński zaczął swą karjerę od służby pod sztandarami Karola V w Hiszpanji i Niemczech, Lisowski, twórca „Lisowczyków" dobrze dał się poznać zachodniej Europie, jak również admirał Arciszewski i tylu innych. A gdy w połowie XVIII wieku stworzył Stanisław Leszczyński szkołę wojskową w Luneville, coraz częściej młodzież polska jeździła do Lotaryngji, by powiększać kadry tej szkoły. Wogóle Alzacja i Lotaryngja stały się w owym czasie jednym z najbardziej uczęszczanych turystycznych celów podróży, gdyż tam to właśnie robiono wielką politykę, mającą odbić się w naszej ojczyźnie i debrać koronę Sasom. W tymże jednak samym czasie równie i Drezno stało się celem podróży dla przeciwnej znów strony, antagonistów Leszczyńskiego. Szosy i drogi prowadzące z Polski do krajów ościennych via Śląsk, Wrocław, Drezno, lub też Morawy i Wiedeń zapełniały się nieraz licznemi karetami prywatnemi lub pocztowemi, wiozącemi polskich turystów. Nieraz zjawiały się całe karawany, gdy jechał jakiś dostojnik, mający dobrze zaopatrzony trzos i lubiący wystawność. Do takich wielkich podróżników, którzy olśnili zagranicę swojem wysta-



Pomnik kardynała Włodzimierza Czackiego, dłóta Piusa Welońskiego, w kościele św. Pudencjanny w Rzymie.



Dziedziniec kolumnowy uniwersytetu w Padwie.

pieniem należał Józef Aleksander ks. Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, eurydta wielki, ale też dziwak, szczodry, gdy chodziło o „postawienie się" lub naukową fundację, skąpy, gdy zaś rodzina prosiła go o jakieś ustępstwa. W Lipsku funduje on słynne do dziś dnia istniejące Towarzystwo Naukowe Jabłonowskich, w Paryżu zaśmiewa salony paryskie swoją postawą i swojemi klejnotami, a pół Lotarynglji opowiada sobie o jego uczonych dysputach z „Stanislas le Bien-Aimé". Ale i Rzym zna turystów polskich z najlepszej strony, to jest ich bogactwa i hojności. Przecież przyjmował już w swoich brudnych naówczas i zupełnie nie przypominających cezarów uliczkach poselstwo tego Ossolińskiego, co to gubił podkowy złote po różnych piazzach, przecież przez kilka lat patrzał się na wystawny tryb życia Marysieńki, która po śmierci bohatera z pod Wiednia tam właśnie rozbiła swoje koczownicze namioty w jednym z pałaców rzymskich. Lecz i w Paryżu turyści polscy zwracają w tym czasie na siebie uwagę bogactwem strojów, zbytkownym sposobem podróżowania. W tym kierunku pobił chyba rekord



Powyżej: Fronton słynnej Sorbony, w której kształciło się wielu Polaków



Na lewo: Wspaniały pałac rokokowy »Zwinger« w Dreźnie

młody ks. Adam Czartoryski, który zjawia się nad Sekwaną w 400 koni i 10 wielbłądami i 12 karetami w r. 1761. Oczywiście, że cały Faubourg St. German bal Wersal cały przygląda się z podziwem tym podróżnikom z dalekich krain, którzy występują z przepychem niemal wschodnich władców. Oczywiście, że nie każdy Polak w równej mierze stawał się atrakcją zagranicą.

Wielu naszych rodaków udawało się też zagranicę, szukając zdrowia. Między licznymi kuracjuszami, którzy u wód w Karlsbadzie leczyli swe dolegliwości nie zabrakło również króla Michała Korybuta-Wiśniowieckiego chorującego na wątrobę, a później w tymże samym Karlsbadzie leczyło się jeszcze wielu wybitnych Polaków, łącznie z Mickiewiczem.

Lecz przyszły czasy gorsze: z własnej woli przebywający w Paryżu i zagranicą Polacy wkrótce stali się stałymi jej mieszkańcami, a coraz groźniejsze fale wydarzeń zapędzały naszych rodaków do Francji, Szwajcarji, Włoch i Anglji. Rozpoczęła się nowa, nieznana dotychczas w dziejach „turystyka przymusowa", znacząca każde miejsce pobytu mniejszemi lub większemi wydarzeniami politycznemi. Polacy, lubiący wogóle podróżować, czynią to teraz z musu i wszędzie ich pełno. Paryż, Drezno, Bruksela, gdzie przebywa sędziwy historyk i mąż stanu Lelewel, Londyn, Bordeaux, Florencja, Rzym i tyle innych miast staje się celem podróży licznych emigrantów. Na obczyźnie przecież powstają też najpiękniejsze utwory naszej literatury, bo i Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, jak również Cyprjan Norwid, Syrokomla i wielu innych pędzi tułaczy żywot. Zagranica oczywiście nie zawsze z równym entuzjazmem przyjmuje tych nowych turystów, pozbawionych nieraz środków do życia. Ale imię polskie tak długo już znane było na obczyźnie, że istnieją liczne nici, łączące kulturalnie Polskę z temi krajami. Żaden naród nie posiadał tak, jak Polska „turystyki politycznej", dla żadnego też narodu częste wyjazdy zagranicę nie były tak jak dla nas chlebem powszednim. Ostatnim etapem tego podróżnictwa, to liczne skupienia polskich polityków i patrjotów zagranicą podczas wojny światowej. Przecież siedziba Henryka Sienkiewicza w Vevey w Szwajcarji, jak również Paryż koncentrowały żywy ruch emigrancki w dniach, w których los Polski rozstrzygał się na polach bitew i w gabinetach dyplomatów.

Reasumując kilka wieków ostatnich naszej historji i przyglądając się wyprawom dawnych Polaków, dojdziemy do przekonania, że poza wiekiem XVIII w większości wypadków przodkowie nasi jeździli na „wojaż" z zgóry powziętym planem i traktowali podróż z właściwem zrozumieniem jako źródło nowych wiadomości i doświadczeń życiowych.

Jan Maleszewski.

Poniżej: »Collège de France« w Paryżu, w którem wykładał Adam Mickiewicz.

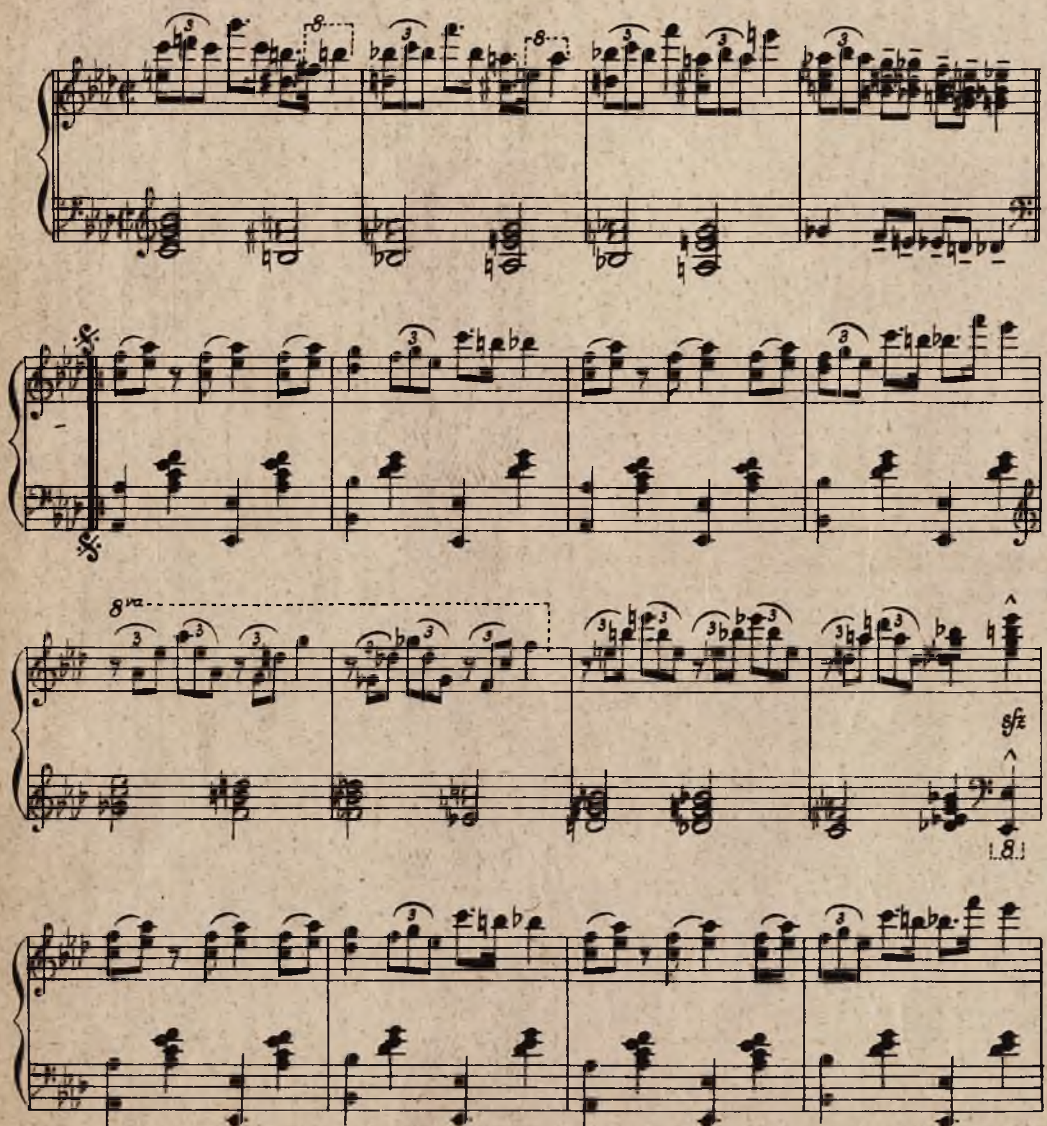


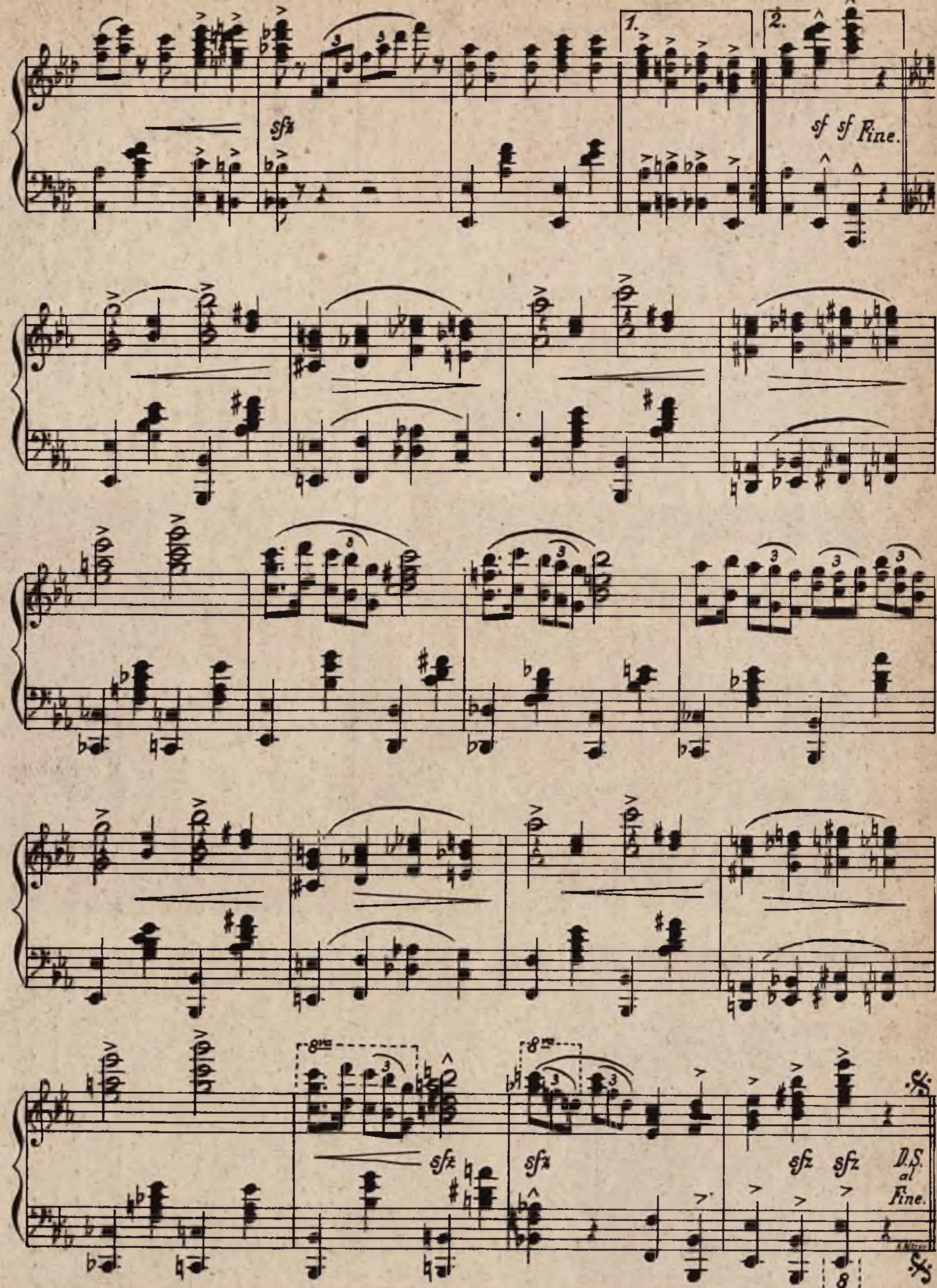
W KAŻDYM PORCIE DZIEWCZYNA

SLOWFOX

(FRAGMENT Z BALETU PARNELLA)

ZYGMUNT WIEHLER (1937)





MARYNARZ SŁONYCH WÓD...



ZŁOTA TABAKIERKA

OBRAZEK

Nicea. Doborowa, elegancka, międzynarodowa publiczność tańczy w Grand-hotelu w takt rytmicznych dźwięków wspaniałej orkiestry.

Melodyjny walc angielski kołysze eleganckie pary; fraki panów to arcydzieła krawca londyńskiego, panie strojne w kosztowne, paryskie toalety. Atmosfera jest przemiła. Rudawa, smukła kobieta króluje na sali. Czarujący uśmiech nie schodzi z jej warg. Ubrana jest z niezwykłym, nawet jak na to środowisko, szykiem. Nic w tem dziwnego: jest to żona miljonera, nafciarza Corvetti. Jej partnerem w tańcu jest attaché ambasady angielskiej. Onieśmielony wywornością swej danserki, zapomina, iż należy bawić ją rozmową.

Muzyka kończy walca, dyplomata całuje rękę pięknej pani, odprowadzając ją do stolika. Wtem zbliża się zadyszany nieco, opasły i szpakowaty jegomość. Nachyla się nad piękną panią Corvetti i szepce jej coś do ucha. Madame Corvetti blednie i przyciskając dłoń do piersi, słania się i mdleje. Młody attaché chwyta ją jeszcze w samą porę w swe ramiona, obcy jegomość pomaga mu i we dwójkę wyprowadzają ją do biura dyrekcji hotelu.

— Jestem detektywem — legitymuje się grubas i powiadamia panią Corvetti, że jej przedostatni danser, Włoch, posądza ją o kradzież złotej tabakierki, która znikła mu z kieszeni kamizelki gdy tańczył z nią tango. Madame obraża się i broni energicznie, nie może jednak ujść dokładnej rewizji. Przetrząsają suknie, bieliznę, torebkę. Tabakierki niema!

Teraz zkolei przedstawiciele policji zaczynają się usprawiedliwiać, przepraszają swe ofiary. „Wyjeżdżam jutro rano — oświadcza, łkając, piękna kobieta — za nic w świecie nie zostanę w miejscu, gdzie się tak niegodnie ze mną obchodzą".

— — — — — — — —

Do przedziału pierwszej klasy rannego pociągu Nicea—Paryż wsiada nazajutrz Mme Carvetti, w przepięknym stroju podróżnym. Jest jedyną pasażerką. Sadowi się wygodnie, rozcina nową książkę i zabiera się do czytania. Pociąg rusza. W drzwiach przedziału staje — ku wielkiemu przerażeniu eleganckiej damy — attaché angielski, z którym tańczyła wczoraj, zanim ją spotkała ta obelga.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzam — tłumaczy, ale nie mogłem oprzeć się chęci poznania pani bliżej, a dyrekcja hotelu poinformowała mnie o zamierzonym wyjeździe.

— O Boże — łka Madame Corvetti. — Pan więc chce...

— Chcę podziękować za prześliczną papierośnicę — przerywa z uśmiechem młodzieniec — którą mi łaskawa pani podczas wczorajszego omdlenia tak zgrabnie wsunęła do kieszeni. Piękny podarek ucieszył mnie tem bardziej, że właśnie wczoraj obchodziłem moje urodziny.

Mme Corvetti nie jest w stanie wykrztusić słowa, zaś dyplomata ciągnie dalej:

— Omdlenie łaskawej pani było fikcją, ja zaś jestem zwolennikiem prawdy; czy wolno mi więc ofiarować, wzamian za wczorajszy upominek ten sznur pereł, cenny i prawdziwy? Sąsiadce mej z hotelu nicejskiego, hrabinie de Beuvignon będzie go niewątpliwie bardzo brakowało....

tłum. A. J. **Georges Neville.**

Dokończenie ze str. 15.

Zato przez szerokie okna widać przytulne, małe, zasobnie urządzone wnętrze domków. O swój „home" nigdzie chyba nie dbają tak, jak na dalekiej północy. Trzy czwarte życia, a zwłaszcza długie ciemne miesiące zimowej nocy, upływają tu przy domowem ognisku.

Teraz jest lato, teraz całą dobę świeci wspaniale srebrzyste słońce. Właśnie w jego promieniach o 23-ej godzinie, zwiedzamy miasto. Niepodobna spać; dla nas ludzi z południa nisamowite zjawisko słońca, krążącego bez przerwy po niebie, jest tak podniecające, że nikt nie może zmrużyć oka. Zresztą i mieszkańcy Hammerfestu chodzą grupkami po ulicach rozmawiając, śmiejąc się, bawiąc. Nawet większość sklepów pozostaje otwarta do 23-ej, taki panuje tu zwyczaj podczas „midnatsol".

Miasto roi się od cudzoziemców, prócz nas stoi bowiem w porcie wielki parowiec „Rotterdam", jakoby jeden z większych pasażerskich stateczków holenderskich.

Wspominając minione cierpienia na falach oceanu Lodowatego, patrzę z zazdrością na jego kolosalny kadłub — ten z pewnością nie buja!

Po szerokich, porządnych i dziwnie smutnych ulicach idziemy w górę miasta — zdała, na zboczach gór widać szmaragdowe smugi krzaków, wyżej wznoszą się potężne, szare, nagie skały, prostopadłe, groźne, niedostępne. Za nami szafirowa toń morza i statki, stateczki, łódki, motorówki, kutry, kecze, cały ruchliwy, barwny port.

Nagle okrzyk zdumienia wyrywa się ze wszystkich ust: przez wielką wystawową szybę patrzy na nas świetnie wypchany — mors. Jego srebrzyste futro odbija od całych pęków wspaniałych skór, wiszących i leżących po bokach

Nie mogę się oprzeć pokusie, wpadam do wnętrza składu. Doprawdy, czegoś podobnego nie widziałam nigdy w życiu. Olbrzymie puszyste futra białych niedźwiedzi, srebrne, białe, niebieskie i czarne lisy, wspaniałe gronostaje, lśniące scalskiny, srebrne foki i wiele, wiele innych, których nawet nazw nie zdołałam zapamiętać. A ceny! Pięknie znaczony, wielki srebrny lis kosztował 380 zł!

„Z rozpaczą w duszy" kupujemy — na miarę naszych kieszeni — rękawice futrzane i foki do nart (cena najlepszych 11 zł) i nie oglądając się za siebie, wracamy na statek, który już głosem dzwonu daje sygnał odjazdu.

Niebotyczne, wprost z morza wystające szczyty piętrzą się wyniośle, surowe, obojętne. Zdala wydają się srebrne, lekko błękitne, przejrzyste i lśniące — potem ciemnieją... już są szare.. już widać czarne rysy szczelin, zielone smugi brzozowych krzaków i białe, śniegiem okryte wierzchołki. Coraz nowe, coraz inne, coraz piękniejsze widoki przesuwają się przed olśnionemi oczyma, że w końcu już sił nie staje patrzeć, a niepodobna przestać i zejść do kajuty.

Wczesnym rankiem dojeżdżamy do maleńkiej przystani Skjervöy. Widzę na pomoście jakieś wielkie zwały... porąbanego drzewa? Nie! Skądżeby tu się mogło wziąć drzewo. — Wiórów?.. Dopiero znalazłszy się zupełnie blisko krzyknęłam: „ryby!" z takim akcentem radosnego odkrycia, że kilku marynarzy obejrzało się ze zdumienia.

Istotnie były to ryby! Wielkie, suszone, wyglądające jak patyki — ryby. Całe ich stosy piętrzą się na brzegu, a dalej na łagodniejszem w tem miejscu zboczu stoją poprostu lasy rusztowań, na których wielkie i małe, cienkie i grube wiszą rozciągnięte na patykach i przygotowane są na sprzedaż. Rybołóstwo to przecież jedyne zajęcie miejscowej ludności, a ryby najważniejszym przedmiotem handlu.

Na całej przystani, nad naszym parowcem krążą stada wrzaskliwych mew. Co chwila zbliżają się do statku, to znów odlatują ku morzu, jakby zachęcając do dalszej drogi. I otoczeni białą, pierzastą chmurą ruszamy dalej — po słońcem wysrebrzonej tafli — na zachód.

Marja Krzewska.

ARTUR GROTTGER

WSPOMNIENIE F. M. AREN



PRZEŁOŻYŁ
WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha —
niema pożegnania.

4-ty ODCINEK.

Predko list przebiegłam oczyma — tajemnic jeszcze nie miałam — było tam coś o Szwedce Riecken i o naszej ostatniej zabawie ogrodowej na probostwie, na której ona w zielonej sukni i w zielonym szalu, ja w różowej ubranej różami, staczaliśmy boje o Miethe, całą w bieli. Wszystko dziecińśtwa, igraszki i przekomarzania się, ale jemu było to miłe; wziął list i zmierzał ku wyjściu.

Nie wiem, jak się to stało, żeśmy wyszli przez otwarte drzwi salonu i zatrzymali się w zagłębieniu okna. Na dworze świecił księżyc i gwiazdy na jasnem niebie, rozpostartem nad ciemnemi dachami przeciwległych niższych domów. Staliśmy jakby na granicy pomiędzy niebem a ziemią, na pograniczu światła lampy i księżyca. Widziałam całkiem wyraźnie, jak jego postać, podwójnem oświetlona światłem, rysował się na jasnem tle firanki, z psem na smyczy, ze szpicrutą, ściskająca w ręce astrachańską czapkę.

— Więc w piątek — szepnął — w piątek popołudniu; choć to właściwie zły dzień.

— Ach — zaśmiałam się — dlaczego pan taki przesądny? Dzień ten musi być dniem dobrym.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie złą przepowiednią — rzekł poważnie, podając mi rękę, — a więc... do widzenia!

— Do widzenia! — Wzięłam jego rękę w moje obie ręce i wbrew etykiecie i całemu konwenansowi towarzyszyłam mu przez pokoje pośród gości, skłaniających się w milczeniu.

Skoro wróciłam, gwarny salon wydawał mi się głuchy i pusty. Wzięłam dopiero co otrzymane książki i — duchem nieobecna — przewracałam kartki wśród ogólnej ożywionej rozmowy. Moje oczy patrzyły na wszystko, jak na scenę w teatrze.

IV.

Było to w czwartek wieczorem.

— Jutro piątek — mówiłam do siebie — jutro on przyjdzie, będzie mię rysował, będę mogła patrzeć na niego, będę go widziała.

Zamknęłam oczy. Leżałam na sofie, znajdującej się obok mego ukochanego biurka, na którem już płonęła lampa, gdyż właśnie zmrok zapadał. Byłam bardzo znużona; w dwóch dniach bowiem przeczytałam Wallenroda, Grażynę i Marję, połknąwszy je łapczywie, jednym haustem, jak puchar mocnego wina. Leżałam oszołomiona, — a wiosenne ciepło osłabiało mnie.

Jak długo tak trwałam, nie wiem. Gdy otworzyłam oczy, spostrzegłam matkę, stojącą przed lampą i przyglądającą się dużemu, niezbyt zachęcająco wyglądającemu listowi.

— List do ciebie — rzekła, — gdy podniosłam się, by go odebrać.

Co za szkaradne pismo. Od kogo to być może? Rozwinęłam dużą niebieską ćwiartkę bez koperty, niedbale złożoną, zaklejoną opłatkiem. Przejął mnie wstręt na widok takiego niechlujstwa formy, brzydkiego pisma, złej ortografji i niezdarnego stylu. Wtem wzrok mój padł na podpis. Nie do wiary: Artur Grottger!

Nie, to niemożliwe! Jakkolwiek nie miałam pojęcia o fizjonomice, o znajomości ludzi, ani o zależności pisma od charakteru, pewną byłam, że to pismo nie mogło pochodzić od Grottgera. Jednak trzeba było przeczytać. Matka czekała, by poznać treść listu, która była bardzo krótka. Artysta donosił, że nagły odjazd nie pozwala mu przyjść na jutrzejsze posiedzenie; parę niezdarnie wplecionych uprzejmości i wyrazów ubolewania dopełniało całości.

To było w samej rzeczy dziwne.

Po chwili matka opuściła pokój z lekkiem zadowoleniem. Zostałam sama. Obracałam kartkę na wszystkie strony, lecz nie stałam się przez to mądrzejszą. Zdawało mi się okropną profanacją sztuki, że taki świstek z ręki artysty wyjść może. Noc, która po tym wieczorze zapadła, nie należała do najspokojniejszych. Jakiś dziwny wewnętrzny niepokój ogarnął mną, niepokój, którego nie mogłam opanować.

Kiedy nazajutrz, w ten oczekiwany piątek o drugiej popołudniu stanęłam z rajsbretem w ręku w przedpokoju, by przez korytarz udać się do mego nauczyciela rysunków, nagle ktoś gwałtownie zadzwonił, jak to listonosze czynić zwykli. Szybko otworzyłam drzwi.

— List polecony do pani... (tu wymienił nazwisko mojej matki), proszę podpisać recepis.

Ach! jaka miła ozdobna koperta, chociaż ciężka i grubo obciążona! Jakie piękne pismo! Jaka śliczna pieczątka herbowa! Jak wyraźnie było u góry na kopercie: Nadawca: Arthur Ritter von Grottger.

To był prawdziwy triumf, to było zadośćuczynienie. Przychwyciłam matkę na fałszerstwie, a oto tu był dowód. Z niewypowiedzianą dumą udałam się do niej.

— Oto jest prawdziwy list Grottgera — powiedziałam i spokojnym już krokiem udałam się poprzez przedpokój i korytarz na lekcję rysunków.

Wnętrze, do którego wchodziłam, było okropne, ale w danej chwili wielką sprawiało mi ulgę. Na mój dzwonek zjawił się gospodarz, by mi otworzyć. Niedbale odziany mężczyzna, w sile wieku, o bladej twarzy, przedwcześnie zmarszczkami pokrytej, z szorstką brodą i kręcemi bardzo czarnemi włosami. Był to mój nauczyciel rysunków, tak zwany „malarz akademicki“ obecnie fotograf. Dopóki nie pojawiły się wizytowe formaty, powodziło mu się dobrze; zarabiał nieźle kolorowaniem wielkich fotografij, co szczęściem dla niego odpowiadało płytkiemu smakowi ówczesnej mody. Natomiast późniejsza manja formatów wizytowych zrujnowała go. Był marnym fotografem, a z zakresu malarstwa rozumiał się tylko na kolorowaniu.

Przez pusty, słabo oświetlony pokój, zarzucony matrycami, ramami i częściowo pokolorowanemi fotografjami, przepojony przenikliwym odorem kuchni, zamienionej na ciemnię, przechodziło się do prawie zupełnie ciemnego pokoju, bez żadnych mebli, prócz kołyski i kilku parawanów. Zastawało się tam dziecko z trudem mieszczące się w kołysce, odziane w cienką bieliznę, w koronki i wstążki oraz jasną postać kobiecą, która zazwyczaj umykała, chroniąc się za jednym z parawanów.

Była to żona „dama z teatru“ i dziecko, pamiątka po jakimś wielkim panu. Fotografowi, który ożenił się z miłości, danem było uczynić to odkrycie dopiero po ślubie; miał jednak na tyle dobre serce, by pod nieobecność matki piastować dziecko, jak swoje. Lekcje ry-

sunku, które brałam z powodu wygodnego sąsiedztwa, zupełnie mię nie zachwycały i były raczej aktem miłosierdzia.

W pokoju frontowym było przynajmniej jasne, piękne, miłe światło, które niestety oświetlało ustawiczny nieład. W roku fortepian — pani dość pięknie grała i śpiewała — przy oknie podjum do zdjęć, fotografje rozrzucone na stole, sztaluga... oto całe urządzenie.

Niechętnie, bez słowa usiadłam przed moim rajsbretem, podczas gdy mój nauczyciel stanął przy sztaludze. Rysowałam studjum Juliena, on malował obraz, przedstawiający pasterkę. Mój rysunek, wyobrażający jakiś wschodni typ z turbanem na głowie, w żaden sposób nie chciał czynić postępów, podobnie, jak jego pasterka nie miała zamiaru przybrać naturalnej pozy. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach i pod takiem kierownictwem rysowanie sprzykrzyło mi się, mimo lub raczej z powodu mego entuzjazmu dla sztuki. A dzisiaj, właśnie dzisiaj był dzień, w którym artysta, prawdziwy artysta, miał mię wziąć pod swoją opiekę. Z błękitnego nieba spływało ciepło wiosennego słońca a w dole przelewało się, huczało i tętniło ruchliwe życie Wiednia, gdyż cały „Graben" rozpościerał się pod temi oknami.

Nagle odezwał się dzwonek. Wątła żona fotografa ukazała się na progu i wręczyła mi mały liścik. Przyniosła go nasza pokojowa. „Dla Panny Karoliny" widniał napis na niezaklejonej kopercie, którą przysyłała mi mama, gdyż był to załącznik do jej listu. Wsunęłam pismo do kieszeni. Koło mnie stała kobieta, którą pogardzałam; jak mogłam przy niej czytać coś, co było dla mnie drogie i święte? A kiedy tamta pochyliła się niżej nad moim rysunkiem, zerwałam się i podeszłam do okna. Wychowana w północno-niemieckim rygorze, nie bardzo orjentowałam się w sytuacji. Nie rozumiałam jej. Wiedziałam tyle, że ta pani stroiła się i szminkowała, pozostawiając męża samego z dzieckiem w tem strasznem mieszkaniu. W bardzo wczesnej młodości zbyt surowo potępiamy błędy naszych bliźnich.

Byłabym chętnie odeszła, ale mama, która kazała napisać do mnie fałszywy list, również nie pociągała mię ku sobie. Zostałam chwilę i patrzyłam przez okno.

Gdy odwróciłam się, żona fotografa siedziała przed moim rajsbretem i z wielką wprawą kończyła próbę mej cierpliwości: model turbana, nad którym tak się mozoliłam. W każdym razie lepiej władała ołówkiem, niż jej mąż pendzlem.

Kilka książek leżało rozrzuconych po ziemi. Podniosłam pierwszą lepszą. Był to lichy przekład „Don Juana" Byrona. Wówczas nie czytałam jeszcze tego autora po angielsku, a tłumaczenie oddawało jedynie dzikl nieokiełzany cynizm, nie odtwarzając płomiennego ducha oryginału. Po paru zwrotkach rzuciłam książkę — przejął mię dreszcz wstrętu. Mimo woli dotknęłam listu w kieszeni i szybko pożegnałam się.

Turban i rajsbret pozostały, a ja po raz ostatni przekroczyłam te progi. W dniu, w którym miało mi być dane czerpać z najczystszego źródła sztuki, postanowiłam tego brudu więcej nie dotykać.

Gdy wróciłam, mama — na szczęście — była w swoim pokoju. Pozostałam w salonie, na przeciwległym końcu mieszkania.

Dopiero teraz wyjęłam list i czytałam:

Człowiek strzela, a Bóg kule nosi — proste, ale prawdziwe przysłowie. Nieprzewidziane sprawy powołują mię do Warszawy. Muszę wyjechać w tak krótkim czasie, a tak wiele mam do załatwienia, że przyjść nie mogę. Musimy odłożyć nasze posiedzenia — być może, że wrócę niedługo.

Najserdeczniejsze dzięki za wszystko dobre. Całuję milutkie ręce — a żeśmy młodzi jeszcze — do widzenia. *)

Artur Grottger.

Fotografje przyłączam.

Chwilę trwałam bez ruchu — po raz wtóry przeczytłam te wiersze — potem znowu i znowu... tak jest: „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi", a ten piątek był złym piątkiem.

V.

Minęło kilka dni, w ciągu których, z wyjątkiem koniecznych spraw, nie przymówiłam do matki ani słowa. Natomiast odbywałam tem dalsze i dłuższe spacery. Pod tym względem wyniosłam z Hamburga, gdzie anglomanja silnie panowała, zupełnie wyemancypowane pojęcia. Podczas tych przechadzek byłam zupełnie niekrępowana, gdyż moja matka z powodu chorej nogi rzadko dom opuszczała i to tylko w powozie; to też mogłam często odwiedzać moich dziadków, którzy mieszkali na górnym końcu Heugasse.

Od Grabenu do Belwederu jest ładny kawałek drogi, jednak przebiegałam go szybko i z przyjemnością. Nie wydawało mi się to wielką odległością, a Belweder i jego otoczenie stały się dla mnie ulubionem miejscem przechadzki. Przynętą był również stosunek, jaki mię łączył z macochą mej matki. O wiele młodsza od mamy wychowywała mię, a obecnie stała się moją powiernicą. To też spowiadałam się przed nią ze wszystkich moich smutków i radości. Tak tam było spokojnie i cicho, tak przytulnie w schludnie utrzymanem mieszkanku, w którem meble, obrazy i wszystkie przedmioty przypominały czasy mego najwcześniejszego dzieciństwa. Wówczas to macocha mej matki, piękna i całkiem młoda jeszcze blondynka, brała udział w moich wybrykach i wraz ze mną bawiła się dużą wiedeńską lalką, podczas gdy ukochany dziadek siedział w swoim wielkim fotelu, zupełnie jak dzisiaj, z tą jedynie różnicą, że przed laty nie wystarczał mi cały zasób jego bajek, a obecnie, przeciwnie, on ustawicznie domaga się ode mnie wiadomości i nowinek.

Kiedy tak siedziałam przy oknie obok babki, pracowicie migającej igłą, a zegar, stary znajomy, niestrudzenie poruszał wahadłem w swym złoconym domku, i kiedy wzrok mój błądził swobodnie aż do raabskiego i południowego dworca, hen poza arsenał, kędy Belweder przesłaniał horyzont — wówczas było mi o wiele milej i przytulniej, niż tam, w świeżo umeblowanem mieszkaniu, z całym zgiełkiem ulicznym, z wiecznym młynem ciągłych wizyt, z lekcjami i nauczycielami języków i muzyki.

Tu czułam się swobodną i nieskrępowaną, tu mię nie dręczono, ani nie musztrowano, tutaj mogłam okazać, co czuję, i przedstawić się taką, jaką jestem. Zaraz na wstępie rzucałam się

*) Słowa, przytoczone w oryginale po polsku.

na szyję mojej jasnowłosej babce z okrzykiem: oto jestem. Potem zdejmowałam wierzchnie okrycie, kapelusz i rękawiczki, całowałam ze czcią rękę starszego pana, poczem rozgospodarowywałam się na pół lub cały dzień w jasnym obszernym pokoju.

Kiedy skończyłam z nowinami, zabierał głos dziadek, opowiadając o tem, co donosiły gazety i o czem sądził, że mię interesuje, gdyż codziennie czytał Frendenblatt i Morgenpost. Tu zapoznałam się z obu dziennikami, jak wogóle z gazetami. W domu prenumerowano starą Presse i Neue Freie, lecz — jak już wspominałam — byłam w tym szczęśliwym wieku, w którym dziennik wydawał się rzeczą najbardziej zbyteczną na świecie, nie wzbudzającą żadnego zainteresowania.

Czasami, gdy byłam w dobrym humorze, czytałam babce ten lub ów „ciąg dalszy" zaczętej w dzienniku powieści, lecz rychło nabrałam takiego wstrętu, że potem nikt i nic nie mogło mię skusić do uprawiania tego rodzaju lektury, którą zastąpiłam emocjonującemi i pełnemi tajemniczości powieściami Spindlera. *)

Rzecz naturalna, że w dniach, które nastąpiły po otrzymaniu prawdziwego listu od Grottgera, i po całej tej aferze nie byłam usposobiona ani do czytania ani do słuchania dzienników i uczułam się bardzo zaskoczoną, gdyż dziadek podał mi Frendenblatt z uwagą, że specjalnie dla mnie ten numer zachował.

Ciekawość moja odrazu wzrosła niepomiernie, kiedy, rzuciwszy okiem na artykuł, ujrzałam nazwisko Artura Grottgera. Było tam przez dwie długie szpalty o nim i o jego „Warszawie".

„Artur Grottger — było tam napisane między innemi — nie może zaprzeć się swej narodowości. Odważny, jak ona na polu bitwy, dokonał na polu sztuki prawdziwej szarży ułańskiej, jak to tylko genjusz potrafi i jak tylko genjuszowi udać się może..."

Taki mniej więcej był wstęp i w tym tonie szło dalej. Wystawienie bowiem pierwszego cyklu rysunków stało się wydarzeniem artystycznem. Były to ryciny, o których wspominał, opowiadając, że stworzył je tylko dla siebie pod wpływem najgłębszego uczucia. Nie chciał ich wystawiać, gdyż wątpił, czy zainteresują szerszą publiczność, aż mu je przyjaciele potajemnie wykraść musieli. Był to ów cykl, którego siedem małych kartonów natychmiast za siedemset florenów zakupione zostało **). Rysunki, które uczyniły malarza, znanego jedynie szczupłemu gronu rodaków i artystów, „sławnym" na całe miasto, początkującego „skończonym", dojrzewającego „dojrzałym". Wyniosły na światło imię Artura Grottgera z pośród plejady pogrążonych w ciemności adeptów, a imię to zaniosą na ojczyste niwy i poza granice państwa do rzeczywistej Warszawy.

Tego wszystkiego naturalnie nie mogło być w artykule; ale to, co było, wystarczało, by mię oszołomić. Tak! on jest genjuszem! To było tu jasno napisane; a ja go znałam, dotykałam jego ręki, tak swobodnie z nim rozmawiałam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Powieściopisarz niemiecki (1796—1855) (prz. tłum.).

**) „Warszawę I" zakupił hr. W. Dzieduszycki za cenę 600 fl. (prz. tł.).

WE MGLE PORANKU



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie VIII.

Omawiając w naszych tygodniowych lekcjach gimnastycznych różne błędy budowy ciała i sposoby, z pomocą których dążymy do naprawy tych błędów lub przeciwdziałamy ich powstawaniu — dochodzimy do przyczyn t. zw. brzydkiego trzymania się, które nieraz powstaje wskutek nieprzygotowania mięśni do pokonywania pewnej pracy, związanej n. p. z noszeniem jakichś ciężarów. Osoba, posiadająca niewyćwiczone mięśnie ramion i bioder, przekrzywia swą postać w chwili ujęcia ciężaru przez jedną z rąk, a czyni to dlatego, aby utrzymać równowagę ciała przez przesunięcie t. zw. punktu ciężkości. To przekrzywienie, jeśli powtarza się częściej, może doprowadzić do powstania błędu, trudnego do usunięcia i wpływającego, rzecz prosta, ujemnie na wygląd całej postaci.



Wadliwe umieszczenie punktu ciężkości jest powodem tego złego trzymania się.

Jak widzimy na zamieszczonej obok fotografji, ciężar kilku zaledwie książek zmusza przedstawicielkę „płci słabej" do przybrania bardzo nieestetycznej pozy. Aby temu zapobiec służy specjalne ćwiczenie, uwidocznione na drugiej fotografji, które zmierza do wzmocnienia muskulatury ramion i bioder. Rozpoczyna się ono w pozycji stojącej podniesieniem prawej ręki w górę, poczem następuje przegięcie ciała w lewo tak daleko, jak tylko możemy utrzymać równowagę bez uciekania się do pomocy nóg, które pozostają na miejscu nie poruszone przez cały czas ćwiczenia (patrz fotografja), podczas gdy prawe biodro zostaje wysunięte na zewnątrz. To samo ćwiczenie powtarzamy lewą ręką i przegięciem ciała w prawo

Ćwicząc pilnie, dochodzimy do usamodzielnienia się przedewszystkiem mięśni biodrowych i co zatem idzie osiągamy możność noszenia ciężarów bez przekrzywiania ciała.



A oto ćwiczenie, które wzmacniając mięśnie bioder i ramion uniemożliwia wadliwe umieszczenie punktu ciężkości.

Łamigłówki mody męskiej.



Poziome paski coraz częściej ożywiają jako wzór już nie tylko koszule sportowe, ale i te, które nosimy do marynarek w mieście.

★ ★ ★ ★ ★

Coraz więcej pasków POZIOMYCH

Zagranica sygnalizuje ukazanie się wzoru, złożonego z pasków horyzontalnie biegnących, a ozdabiających już nietylko pullowery, ale i koszule, przedewszystkiem sportowe; ostatnio zaś nawet te, które nosimy do marynarek w mieście.

Istny przewrót — pomyśli niejeden „elegantowicz".

A przecież w tej „nowości" doprawdy niema nic nowego. Dawniej noszono bowiem już takie poziome paski jako wzór na koszulach, a jeśli je zarzucono, to tylko dlatego, ponieważ okazały się nietwarzowe dla bardziej korpulentnych — poprostu poszerzały noszących je gentlemanów.

No, ale zostają jeszcze szczupli, którzy także mają jakieś prawa i prawdopodobnie dla tych moda okazała się łaskawą, wprowadzając coś, co pokryje niedomagania ich figur. Taka fatamorgana dla pięknych pań.

Kto jednak nie pretenduje do miana lwa salonowego i komu chodzi wyłącznie o ożywienie swego dressu w sposób oryginalny, ten bez względu na to, czy jest gruby, czy chudy zdecyduje się napewno na tę „nowość" i wprowadzi do swego bieliźnianego repertuaru horyzontalne paski.

Brummel.

ŻYCIE

towarzyskie i artystyczne

ŚLUB W POLSKIEJ ARYSTOKRACJI



W starodawnej siedzibie rodziny Stadnickich — Nawojowej odbył się dnia 24 ubiegłego miesiąca ślub ks. Adama Czartoryskiego, syna b. senatora R. P. ks. Witolda, właściciela dóbr Pełkinie w powiecie jarosławskim i ks. Jadwigi z hr. Dieduszyckich z hr. Jedwigą Stadnicką, córką hr. Adama i Stefanji z ks. Korybut-Woronieckich. — Związek pobłogosławiony został w kościele miejscowym przez brata pana młodego, księdza Jerzego Czartoryskiego w asystencji księdza Cieńskiego, oraz O. Michała Czartoryskiego. Na uroczystość przybyli liczni reprezentanci spokrewnionych rodzin, a przedewszystkiem książąt Czartoryskich, hr. Stadnickich, hr. Dieduszyckich, hr. Krasińskich, ks. Korybut - Woronieckich, ks. Druckich-Lubeckich, ks. Sapiehów i wielu innych. Barwne, polskie kontusze, wraz z mundurami wojskowymi gości, tworzyły piękny obraz. Na zdjęciu młoda para, przechodząca z kościoła pod skrzyżowanemi szablami i karabelami gości weselnych.

»JASKÓŁKA Z WIEŻY MARJACKIEJ«



Teatr krakowski im. J. Słowackiego wystawił ostatnio wodewil Konstantego Krumłowskiego p. t. „Jaskółka z wieży Marjackiej". — Utwór osnuty jest na tle wydarzeń w październiku 1918 r., gdy Kraków odzyskiwał wolność. Wodewil otrzymał świetną oprawę malarską Tadeusza Orłowicza. Na zdjęciu: scena na szczycie wieży Marjackiej.

PORANEK TANECZNY



W ramach „Dni Krakowa" odbył się interesujący „Poranek Muzyki i Tańca", w którym wziął udział zespół baletowy szkoły p. Marji Mikuszewskiej. Występ utalentowanych tancerek, które wykonały różnorodny i trudny program, spotkał się z aplauzem publiczności. Na zdjęciu: zespół p. Mikuszewskiej w efektownej pozie tanecznej

JEANETTE MAC DONALD WYCHODZI ZAMĄŻ



Wielką sensację nietylko dla Hollywood, ale całych Stanów Zjednoczonych stanowi małżeństwo ulubionej artystki Jeanette Mac Donald ze znanym amantem filmowym, Gene Raymondem. Na naszem zdjęciu roześmiana młoda para opuszcza urząd stanu cywilnego w Hollywood.

JAKIE BĘDZIEMY NOSIĆ KOSTJUMY KĄPIELOWE?





Na lewo: Po kąpieli przyjemnie jest wypocząć na leżaku. Przy ciemnych włosach i śniadej karnacji biały kostjum z oryginalnym paskiem wygląda niezwykle efektownie.

W kole: Gwiazdy amerykańskiego ekranu Glorja Stuart i Binnie Barnes odpoczywają po trudach pracy filmowej na kalifornijskiej plaży. Stroje plażowe obu gwiazd są równie oryginalne, jak ekscentryczne.



Na lewo: Trzy amerykańskie gracje, z któremi Parys miałby dużo kłopotu, chcąc jednej z nich przyznać złote jabłko! Obrazek oczywiście z Florydy.

O wszystkiem wolno zapomnieć jadąc nad morze, tylko nie o kostjumie kąpielowym! Stanowi on podstawę naszego stroju plażowego i najważniejszy punkt programu w naszej wakacyjnej garderobie. Kostjum kąpielowy niezbędny jest nawet dla tych kobiet, które nie umieją pływać a nawet nie mogą z jakichkolwiek powodów zażywać przyjemności morskiej kąpieli. Stanowi bowiem najwygodniejszy strój do kąpieli słonecznych, do gimnastyki i gier sportowych na plaży.

Kostjumy dwuczęściowe, złożone z majteczek i staniczka, już się trochę przeżyły. Zamało pamiętano o tem, że nadają się one wyłącznie dla osób bardzo młodych, bardzo zgrabnych i bardzo szczupłych i stosując go bezkrytycznie — obrzydzono go nam. Wolimy w tym roku klasyczny, obcisły, krótki trykot, w miarę odsłaniający wdzięki, a przez swą jednolitą linję, wysmuklający i korzystnie modelujący sylwetkę. Za to widzimy ogromną rozmaitość w materjałach (wełna, bawełna z jedwabiem, laste i t. p.) w deseniach (kropeczki, pasy, kratki) i ściegach trykotu. Wszystkie kolory są dopuszczalne, choćby najjaskrawsze, ale najładniej i najkorzystniej dla figury wyglądają kolory ciemne, jak granat, szafir i cie-

mny pas, a najeleganciej i najmłodziej — kolor biały, ale pod warunkiem, że sylwetka odznacza się wyjątkową smukłością. Na tle złotawego piasku i błękitu morza ślicznie też wygląda kolor żywo pomarańczowy, zbliżony do odcienia cynobru. Naturalnie przy wyborze koloru musimy uważać, aby harmonizował on z płaszczem kąpielowym, względnie plażową suknią czy kompletem, którego stanowi ważną część składową.

A więc czemprędzej dokonajmy wyboru wśród tak licznych i efektownych kolorów i fasonów, zapakujmy do kuferka dwa lub trzy kąpielowe kostjumy i jedźmy nad morze po odpoczynek, młodość i zdrowie.

Lady Like.



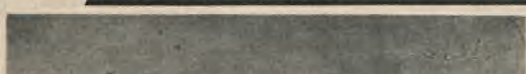
Na lewo: Oto nowoczesna najada, wynurzająca się z fal morskich, która jak widzimy chętnie zabawia się olbrzymią piłką. Gładki, ciemny trykot, w duże grochy, uwydatnia wdzięk młodej sylwetki..





Jednym z punktów repertuaru plażowego są oczywiście słoneczne kąpiele, do których można używać fantazyjnych kostjumów jedwabnych, nie nadających się zresztą do kąpieli (artystki Janice Jarwatt i Emily Lane).





Od lewej: Oto praktyczny kostjum z białej wełny, tkanej porowato w drobniutką wypukłą kratećzkę. Nie nasiąka on wodą i prędko wysycha. Konieczny jest w tym wypadku kolorowy pasek. — Jakaż radość życia promienieje z tej smukłej postaci! Zgrabny granatowy kostjum ożywia pasek i ramiączka z plecionego trójbarwnego warkocza z wełny.



Na prawo: Wytworny kostjum kąpielowy o oryginalnym pasku z klamrą w kształcie łodzi żaglowej. Jedwabna chusteczka z daszkiem od słońca uzupełnia piękną całość.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

CHŁODNIK LITEWSKI. Litr mleka zsiadłego i 1/4 litra śmietany kwaśnej ubijać miotełką aż się spieni. Osobno zagotować pół litra kwasu ogórkowego lub głąbikowego, albo też barszczu burakowego, ostudzić i zmieszać z mlekiem, dodać łyżkę siekanego kopru, surowego ogórka, pokrajanego w plastry i sparzonego wrzącą, osoloną wodą, parę ugotowanych i pokrajanych buraczków, 2—3 jaj na twardo ugotowanych, pokrajanych w ćwiartki. Jako dodatek nadają się też szyjki rakowe lub kawałek pieczeni cielęcej, pokrajanej w kostkę. Skontrolowawszy smak, stawia się chłodnik do lodu na godzinę.

SOS CZEREŚNIOWY DO OZORA LUB DZICZYZNY. Z łyżki smalcu wieprzowego, 2 łyżek mąki i łyżki cukru sporządza się ciemniejszą zasmażkę, zalewa wodą i miesza na ogniu, aby była gładka, potem dodaje się: 4 łyżki tartego piernika, 4 pełne łyżki wydrelowanych ciemnych trześni, podgotowanych przedtem z troszką wody, listek bobkowy, 5 ziarn angielskiego pieprzu, sok i otartą skórkę z cytryny, 4 łyżki mielonych orzechów i kieliszek czerwonego wina. Sos po zagotowaniu należy przefasować przez durszlag i w razie potrzeby rozrzedzić rosołem. Podawać można ciepły lub zimny.

FILETY SARNIE Z BURACZKAMI. Z dobrze skruszałego combra sarniego wykrawa się okrągłe filety, zbija je pałką, kropi cytryną i smaruje oliwą lub szpikuje młodą słoniną. Z podłużnej bułki kraje się okrągłe grzanki i wysmaża je na maśle. Również przygotowuje się puree z gotowanych buraczków, podprawia je zasmażką, solą, cukrem i cytryną. Usmażone, jak befsztyki na rozpalonem maśle filety sarnie, układa się wokoło puree buraczanego, ułożonego kopiato na środku półmiska. Między jeden a drugi filet, kładzie się usmażoną grzankę. Wszystko oblewa się buljonem, zagotowanym z kieliszkiem madery i podaje bardzo gorące.

MACEDOINE Z JARZYN. Różne jarzyny, jak: szparagi, kalafjor, kalarepkę, fasolkę szparagową, zielony groszek ugotować każde z osobna w słonej wodzie, odcedzić i pokrajać drobno. Wystudzone miesza się z kilku łyżkami gęstego majonezu, nakłada do formy, wysmarowanej oliwą i stawia na lodzie. Wyrzucone z formy na środek półmiska, okłada się plastrami zimnego mięsa lub wędlinami.

KOTLECIKI Z GRZYBKÓW. Do sporządzania tej potrawy nadają się każde grzybki jadalne, nie muszą być koniecznie prawdziwe borowiki. Grzybki np. podpieńki (doskonały, niesłusznie pogardzany grzybek), oczyszczone i drobno pokrajane, dokładnie wymyte, wkłada się do ryneczki, dodaje łyżkę masła i drobno skrajaną cebulkę i dusi do miękkości na małym ogniu bez wody, wzgl. bardzo lekko podlane. Do uduszonych i trochę ostudzonych grzybków dodaje się kilka łyżek zielonego groszku, osobno uduszonego tylko z wodą i solą, kilka drobno pokrajanych szyjek rakowych, soli i pieprzu oraz siekanej, zielonej pietruszki, 1 jaje i tyle tartej bułki, aby masa nadawała się do formowania kotlecików. Wysmażone szybko w mieszanym tłuszczu podaje się z młodemi ziemniaczkami lub kaszką krakowską.

BUCHTLE CZEREŚNIOWE Z CZEKOLADĄ. Z 2 dkg drożdży, paru łyżek letniego mleka i mąki, sporządza się rozczyn, który musi w cieple wyróść do podwójnej wielkości. Dalszemi dodatkami są: 32 dkg mąki, 1 jaje i 1 żółtko, łyżeczka soli, tyleż rumu, 6 dkg cukru, 8 dkg masła. Wszystko razem wybija się z dodatkiem odpowiedniej ilości letniego mleka na całkiem wolne ciasto, które się wałkuje, odcina kawałki, smaruje rozpuszczoną czekoladą, nakłada po 4 wydrelowane czereśnie, posypuje cukrem, zwija w buchtlę, macza w maśle i układa w formie lub rondelku. Po wyrośnięciu piecze się je, rozdziela i posypuje na spodniej stronie suto cukrem z wanilją.

TORT AGRESTOWY Z PIANKĄ. 10 dkg posolonego masła, 15 dkg mąki, 5 dkg cukru, 2 dkg łupanych, mielonych migdałów, 3 twarde żółtka, przetarte przez sitko, zagniata się na ciasto (w razie potrzeby, o ile ciasto za twarde, można dodać łyżkę kwaśnej śmietany). Ciastem tem wykłada się formę kwadratową i piecze na blado złoty kolor, następnie nakłada na grubość palca agrest, poprzednio z cukrem na gęsto ugotowany. Na wierzch kładzie się piankę merengową, ubitą z 3 białek i kilku łyżek mączki cukrowej, posypuje siekanemi migdałami i zapieka w piecyku.

TORT PORZECZKOWY T. ZW. „MARIENBADZKI". 12 dkg masła uciera się na pianę, dodaje po jednemu 3 żółtka i po łyżce 12 dkg mączki cukrowej, sok i skórkę z pół cytryny, wkońcu 20 dkg mąki, zmieszanej z pół łyżeczki proszku do pieczywa i pianę z 3 białek. Masę tę nakłada się do formy tortowej, piecze niezupełnie, następnie wsypuje na wierzch dość grubą warstwę porzeczek, obranych z szypułek, posypuje cukrem i dopieka w gorącym piecyku. Wystudzony tort pokrywa się cukrzoną, bitą śmietanką.

Sc. Ko.



Obok zreprodukowana łopatka do kurzu ma tę przewagę nad dotychczas używanemi, że posiada rodzaj ochraniacza, nie pozwalającego na wysypywanie się kurzu drugą stroną, co się zazwyczaj dzieje przy łopatkach zwykłego typu.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Nowe modele zapalniczek, które widzimy na zdjęciu, odznaczają się praktycznością i oryginalnością. — „Gracz w golfa" i zapalniczka w kształcie sheckera do cocktaili posiadają minjaturowe bateryjki elektryczne, pierwszą zapala się przez pocieranie, drugą przez otwarcie wieczka.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 28 — **Lipiec** — 31 dni

NIEDZIELA **4** Józefa Kal.	Bulion w filiżankach na zimno.Budyń ja= rzynowy.Filety sarnie z buraczkami.Tort porzeczkowy z bitą śmietaną. Kolacja:Zimny półmisek salami,jaja na twardo,sery,rzodkiew,zielona sałata.
PONIEDZ. **5** Filomeny p.	Chłodnik litewski.Jaja panierowane z sa= łatą.Ozór z sosem czereśniowym.Placek z jagodami. Kolacja:Risi-bizi /ryż z zielonym grosz= kiem/
WTOREK **6** Izajasza pr.	Krupnik na śmietanie.Kalarepka faszero= wana.Kaczka z duszoną kapustą.Buchtle z wiśniami. Kolacja:Macedoine z jarzyn.
ŚRODA **7** Pulcherji p.	Zupa borówczanka z grzankami. Kotleciki z grzybów z ziemniaczkami. Zrazy naturalne z sałatą mieszaną.Poziom= ki z śmietana. Kolacja:Kalafior z ryżem.
CZWARTEK **8** Elżbiety kr.	Zupa makaronowa w śmietanie.Omlet z szpinakiem.Kurczęta pieczone z mi= zerją.Kompot mieszany. Kolacja:Ziemniaczki z kwaśnem mlekiem.
PIĄTEK **9** Luizy, Weroniki	Barszcz zabielany z twardem jajem.Maka= ron z serem zapiekany.Ryba w galarecie z majonezową sałatą jarzynową.Placek drożdżowy z wiśniami. Kolacja:Jaja sadzone w szpinaku.
SOBOTA **10** Amalji p.	Rosół z lanem ciastem.Sztuka mięsa z zimnym sosem szczypiórkowym.Rozbratle duszone lub kotlety cielęce z sałatą. Krem agrestowy z keksami. Kolacja:Ryż z kremem poziomkowym.

HOCKI-KLOCKI

ECHA KORONACJI.



— *Mój panie, cóż to za maskarada?*
— *Urządzam poprostu próbę wyjazdu na urlop!* **Rys. Charlie.**

WYSTAWA PARYSKA W NOCY.



Dwa pawilony...

Rys. Charlie.

Dokończenie z str. 10-tej.

powolne zdobywanie stanowisk i radości życia. Pewnego dnia los dał panu wszystko, o czem pan może zamarzyć. Majątek, stanowisko, ma pan młodość i urodę. To może człowiekowi przewrócić w głowie.

— O, oto się nie boję — przerwał Artur prawie obrażony.

— Tak się panu zdaje. Tęższe głowy padały ofiarą tych pozorów. Bo widzi pan, właściwie to wszystko jest tylko kompozycją okoliczności, fatamorganą życia, nie realnością.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której obie strony przygotowywały się do walki. Lord Artur, przeczuwając jakąś klęskę, zbroił się w swe zasady, skupiał się, przypominał sobie swoje życiowe wytyczne. Patrycja gromadziła argumenty.

— To, co panu powiem, będzie ostrzeżeniem. Niech pan posłucha: Matka pańska była uroczą kobietą, pełną wdzięku, gracji, jedną z tych, które rodzą się tylko poto, aby błyszczeć, bawić się i stać się drogocennym klejnotem w drogiej oprawie. Tej oprawy jednak ojciec pański nie mógł jej dać.

— Tak, ojciec całe życie walczył z trudnościami życiowemi... wtrącił w zamyśleniu Artur.

— Walczył, ale nie zdołał zwyciężyć. Natomiast stryj pański, ten, po którym pan wziął majątek i tytuł, był człowiekiem bogatym. Znał się na życiu, cenił jego uroki i kochał piękne kobiety. Otóż stryj pański, poznawszy pańską matkę, zakochał się w niej jak szaleniec.

— Pani obraża i mnie i mego stryja, który nie może się bronić! Artur spojrzał na lady Patrycję z oburzeniem i zdziwieniem, jakby spostrzegając dopiero, iż miał do czynienia z kobietą, nie liczącą się ani z słowami, ani też czynami.

— Drogi panie! Wszystko, co panu powiem będzie obrażało pańską rodzinę. Mimo to radzę słuchać cierpliwie.

Znowu nastała chwila milczenia. Oczy Artura coraz bardziej nabierały wyrazu przerażenia.

— Ojciec pański, będąc coraz bardziej zmęczonym życiem i walką o byt, wykorzystał miłość swego brata do żony. Matka pańska była kobietą piękną i zasadniczo dobrą: ale była to osoba, która nie ma własnego życia, jest tylko ozdobą życia innych. Jak kwiat, który znosi pieszczoty tych, którzy go kupili... Jedynem jego zadaniem jest czarować.

— Skąd pani to wszystko wie? Jak pani może takie rzeczy mówić? — jęknął głucho lord Artur Craig. — Kim pani jest, aby mnie tak męczyć?

— Kim jestem, lordzie Arturze? Jestem osobą, której pański stryj poświęcił kilka lat życia, po śmierci pańskiej matki. Mnie to stryj pański zapisał cały swój majątek. Dopiero w ostatniej chwili, jakby naraz odnalazł cały zatracony w życiu sentymentalizm, przypomniał sobie pana i panu zapisał swój majątek. Panu, swemu synowi!

— Swojemu synowi? Mnie?

— Tak, swojemu synowi, gdyż jest pan dzieckiem swego stryja. — Wyjęła z papierośnicy papierosa i zapaliła go, puszczając duże koła dymu przez uróżowane usta. — Widzi pan, lordzie Arturze: mimo całą swą prostotę uczuć, mimo pańską uczciwość i chęć walczenia w życiu rycerską tylko bronią, znalazł się pan, ni stąd ni zowąd, w kręgu brudów, kombinacyj, intryg... Przyniosło to panu duży majątek, to prawda... Ale...

Artur objął czoło rękoma, jakby starając się wstrzymać bieg myśli, które w szalonym rytmie rozsadzały jego czaszkę. Milcząc wpatrywał się w jakiś kwadrat posadzki. To, co usłyszał od lady Patrycji, podważyło jego wiarę w świat, w ludzi, w siebie samego. Co robić? Jaką wybrać drogę?

Ktoś stanął w progu. Była to lady Stanhope.

— Gdzie pan przepadł, lordzie Arturze? Chciałam pana przedstawić kilku moim przyjaciółkom i wszędzie pana szukam.

Lord Artur ciężko wstał z fotela.

— Pani wybaczy, ale pewne okoliczności niespodziewane, zniewalają mnie opuścić ten miły, gościnny dom państwa. Bardzo mi naprawdę przykro, bo od pierwszej chwili naszej znajomości poczułem dużo sympatji dla pani i dla jej męża. Dla dokładności — kończył z bolesnym uśmiechem — chcę podkreślić, że nie jestem lordem, gdyż spadku po mym stryju nie przyjąłem!

Ukłonił się lady Stanhope i wyszedł z buduaru, zostawiając zdziwioną panią domu i jej przyjaciółkę.

Rozwiązanie z N-ru 26-go.

TABELA LIGOWA.

Przed meczem:

	przy 0:0	przy 1:1
Wisła	20:4 = 5	21:5 = 4,2
Cracovia	24:5 = 4,8	25:6 = 4,1666
	przy 2:2	**przy 3:3**
Wisła	22:6 = 3.6666	23:7 = 3,28
Cracovia	26:7 = 3,71	27:8 = 3,37

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZIELONE KRZYŻYKI.

Pewien profesor logiki poszukiwał sekretarza. Z wielkiej ilości kandydatów, wybrał wszystkich trzech do jednego pokoju i rzekł: trzech najinteligentniejszych. Wprowadził

— Jesteście panowie inteligentni; jednak chciałbym, na podstawie pewnego tekstu, wybrać najinteligentniejszego z was: mam tutaj dwa kawałki kredy: biały i zielony. Każdemu z panów narysuję na czole bądź biały, bądź zielony krzyżyk. Gdy to zrobię, każdy z panów winien popatrzeć na swych towarzyszy i natychmiast, po ujrzeniu na czole przynajmniej jednego z nich zielonego krzyżyka, podnieść rękę do góry. Gdy tylko któryś z panów wywnioskuje, jakiej barwy jest krzyżyk na jego własnem czole, niech podniesie obie ręce. Jeśli inteligentnie wyjaśni, przy pomocy jakiego rozumowania ustalił barwę krzyża na swem czole, otrzyma posadę.

Gdy młodzi ludzie zrozumieli, o co profesorowi chodzi, narysował on na czole każdego z nich zielony krzyżyk. W tej chwili wszyscy trzej podnieśli jedną rękę do góry i niemal jednocześnie jeden z kandydatów podniósł i drugą rękę.

— Oh — zawołał profesor — jaki krzyżyk ma pan na czole?

— Zielony, profesorze.

— Jak rozumował najbystrzejszy z trzech panów?

PRACA.

Alfred i Bolek wykonują pewną pracę razem w ciągu 24 dni. Jeśli Alfred może wykonać tylko 2/3 roboty, wykonanej przez Bolka, w ile dni każdy z nich z osobna może wykonać tę pracę?

SIEDMIORO DZIECI.

Czterech chłopców i trzy dziewczynki siedzą w jednym rzędzie bez żadnego specjalnego porządku. Jakie jest prawdopodobieństwo, że dwoje dzieci, siedzących na końcach szeregu, jest dziewczynkami?

To warto poznać...

NA SCENIE.

W Warszawie w Teatrze Polskim w dalszym ciągu cieszy się powodzeniem sztuka Adolfa Nowaczyńskiego p. t. **„Cezar i człowiek"**, w której jedną z głównych postaci jest Kopernik (w interpretacji Willamowskiego).

Na scenie Teatru Narodowego utrzymuje się interesująca sztuka Jerzego Zawieyskiego p. t. **„Powrót Przełęckiego"**.

Prawdziwie „kasowymi" okazały się utwory Gwojdzińskiego (**„Freuda teorja snów"**) i Donala (**„Wielka miłość Kitty"**). Teatry Mały i Malickiej mają dzięki tym sztukom bardzo dobry „finisz" sezonu.

Czterdzieści przedstawień przekroczyła komedja Salacrou **„Wolna kobieta"** (Teatr Nowy).

•

W krakowskim teatrze im. Słowackiego wystawiono nowy wodewil Konstantego Krumłowskiego p. t. **Jaskółka z wieży Marjackiej"**. A za kanwę utworu posłużyły pamiętne chwile roku 1918, przeżywane w Krakowie, kiedy to z austrjackich „kepi" zaczęły spadać „bączki", kiedy czarny dwugłowy orzeł musiał ustąpić białemu orłowi.

Wydarzenia te stanowią, rzecz prosta, jedynie tło i pretekst do zainscenizowania wesołych kupletów, do stworzenia niejako ludowej wersji historycznego przełomu. Autor daje postacie zgruba zarysowane, starając się jednak o prostotę dialogów, przeplatanych piosenkami.

Reżyser W. Radulski starał się nadewszystko o wydobycie komizmu z sytuacyj. Zrytmizował groteskowo ruchy postaci, co zwłaszcza uwypukla się w scenach zbiorowych. Do pewnego stopnia reżyser przysłonił intencje autora, odnoszącego się do czcigodnych murów Krakowa nie bez sentymentu. Zresztą dla każdego Krakowianina widowisko Radulskiego ma w sobie chwilami jakąś dziwną ostrość rysunku.

Na czoło wykonawców wysunął się Leon Wyrwicz, tworząc pocieszną figurę austrjackiego pułkownika, kierującego akcją sanitarną w mieście. Zresztą wszyscy wykonawcy starali się, jak mogli, aby wydobyć ze swych ról jak najwięcej humoru i dowcipu. Sięgnijmy do programu i wyliczmy choć kilka nazwisk: Szubert (generał Benigdy), Macherski (komendant fortu na Kopcu Kościuszki), Wroński (adjutant), A. Matusiakówna (Andzia, córka strażaka z wieży Marjackiej), Fabisiak (strażak), J. Czechowska-Korecka (wymowna przekupka). Woźnik (prezes związku dziadów). Układ muzyczny opracował B. Wallek-Walewski, pląsy — H. Bielska.

Na specjalną pochwałę zasługują pomysłowe dekoracje Tadeusza Orłowicza, odtwarzające Kraków z dużym smakiem estetycznym, choć bynajmniej nie realistycznie.

•

Na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie wystawiono utwór włoskiej spółki autorskiej A. de Benedetti i W. Zorzi p. t. **„Biała dama"** (w przekładzie Zofji Jachimeckiej).

W sztuce tej poruszają autorzy w sposób komedjowy zagadnienie równouprawnienia męża i żony. Żona postanawia „nawrócić" niewiernego męża, odpłacając mu tą samą monetą...

Do powodzenia **„Białej damy"**. prócz zabawnego ujęcia tych spraw przez spółkę autorską, przyczyni się staranna reżyserja J. Strachockiego oraz gra całego zespołu. Najobszerniejsze pole do popisu miał p. Śliwiński w roli małżonka. Jego drugą „połową" była p. Malanowicz. Inni wykonawcy: pp. Krzywicka, Willińska, Szrajerówna, Stępowski i Więckowski. J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

Rozkoszna książka! I bardzo niebanalna: nawpół pamiętniki, nawpół utwór powieściowy. Autor posiada styl niezwykle zwarty, prosty a pełen życia. Pod jego piórem wydarzenia, jakie rozgrywały się we Lwowie przed trzydziestu mniej więcej laty nabierają rumieńców, stają się interesujące dla każdego. Tak świetny pisarz, mówiąc o ówczesnych postaciach lwowskiego świata potrafi odmalować je w tak dodatni sposób, że czytamy „Niezapisany stan służby" jak powieść. Raz po raz przewijają się przez stronice utworu Wasylewskiego znane osobistości, Kasprowicz, Makuszyński, Mackiewicz Kamil, Irzykowski, Grzymała-Siedlecki, Grus, trudno wyliczyć wszystkich. Okazuje się, ile wybitnych postaci przewinęło się przez przedwojenny Lwów.

Poprzestaliśmy na paru przykładach. Oto jak charakteryzuje autor jednego z „augurów" krytyki teatralnej tuż przed wielką wojną: „Ulubieńcem publiczności był, rzecz posta, Makuszyński, widny w pierwszym (a raczej w drugim rzędzie) krzeseł, gdyż on jeden miał przywilej stania w antrakcie, frontem do widzów, którzy inkasowali skrzętnie uśmiechy Kornela. Kornel najdowcipniej streszczał premjery, najmilej oceniał aktorów, których znów setnie rugali Adaś Zagórski, lub Władek Milko..."

Wasylewski przypomina słusznie rolę jaką odegrał w latach przełomowych lwowski „Szczutek". W tem czasopiśmie mistrz ołówka, Kamil Mackiewicz „przeszczepił na grunt polski formę dotąd niebywałą, owe tak pospolite w magazynach francuskich i angielskich wesołe dzieje jednego bohatera w szeregu obrazków". I tak „rozpoczął się druk romansu w obrazkach pt. Ogniem i mieczem czyli przygody szalonego Grzesia... Ciężkie to były czasy. Dziś starczy wysłać list do ajencji, a przyślą ci ile chcesz standartowych Agapitów Krupków i innych głuptasków. Mackiewicz musiał swego Grzesia sam urodzić, posłać do wojska, wyratować z Bolszewji, wykręcić z kryminału, zaprotegować u kanarków ożenić go wreszcie i uraczyć bliźniętami".

Zasilał „Szczutka" sam Kasprowicz, posyłając doń swoje utwory o przejrzystych aluzjach politycznych, bynajmniej nie po myśli sfer kierujących i „miarodajnych". M. in. stworzył cykl Pieśni murzynów. Murzyn (czytaj Polak) jest niewolnikiem białych, możnych plantatorów. Kasprowicz zdołał wyjść zwycięsko z zapasów z c. k. cenzurą. J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 4 lipca.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Regjonalna transmisja z Chełmna: a) nabożeństwo, b) reportaż.
11.20 Muzyka rozrywkowa (płyty).
12.03 „Dzień letni" — poranek muzyczny.
13.10 Koncert rozrywkowy.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Koncert (transmisja z parku w Nałęczowie).
17.00 „Oczepiny" — słuchowisko regjonalne.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
20.00 Piosenki greckie i bułgarskie (płyty).
21.00 „Pod dachami Warszawy" — Wesoła Syrena.
22.00 Recital skrzypcowy Szymona Goldberga.
22.30 Pieśni Adolfa Jesdena.

Poniedziałek, 5 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Marsze artystyczne (płyty).
12.40 Audycja poświęcona rzemiosłu drukarskiemu.
16.00 „Gdy wielcy ludzie byli mali: Mały Korsykanin".
16.15 Utwory fortepjanowe na 4 ręce.
16.45 „Tajemniczy człowiek" — pułkownik Lawrence — felieton.
17.00 Koncert orkiestry Filharmonji Warszawskiej.
18.05 Chór Dana i orkiestra Eugenjusza Wolffa (płyty).
19.00 Audycja żołnierska.
19.40 Pływactwo polskie na przełomie.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert w setną rocznicę urodzin Wł. Żeleńskiego.

Wtorek, 6 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
16.00 „Czem jest twój tatuś — pilotem linji lotniczej".
16.20 Mandoliny i ksylofon (płyty).
16.45 „O najdziwniejszej puszczy w Polsce" — felieton.
17.00 Koncert w setną rocznicę urodzin Wł. Żeleńskiego.
18.15 Serenady instrumentalne i wokalne (płyty).
19.00 „Medycy i ich chorzy w krzywem zwierciadle humoru" — wesoły dialog.
19.15 I. audycja z cyklu „Symfonje Beethovena" (płyty).
20.00 Muzyka lekka i taneczna — w wyk. Ork. Wileńskiej.
22.00 Pieśni węgierskie w wyk. Bela Csoka.
22.30 Muzyka węgierska.

Środa, 7 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Koncert w wyk. Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
16.00 „Religijność Orzeszkowej a czasy nasze" — szkic lit.
16.15 Pieśni śląskie Jana Gawlasa.
16.45 Psychologja żołnierza w literaturze polskiej — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
17.50 „Buduję własny dom — pierwsze kroki" — felieton.
18.15 Oktet J. H. Squire'a i Stefan Witas (płyty).
19.00 Słynni dyrygenci — XII audycja — Karol Muck i Walter Straram.
20.00 Iluzje — koncert krakowskiego kwartetu Schrammla.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Z. Rabcewiczowej.
22.00 Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, 8 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego. Transm. z parku Zdrojowego w Nałęczowie.
16.15 Recital fortepianowy Olgi Łapickiej (z Krakowa).
16.45 „Jak zostawić mieszkanie na lato" — gawęda.
17.00 1000 taktów muzyki w wyk. zesp. St. Rachonia.
18.15 Wiązanki charakterystyczne — płyty.
19.00 Słuchowisko Jalu Kurka p. t. „Śpiew o Bośni".
20.00 Muzyka lekka i taneczna (ze Lwowa).
22.00 Płyty dla znawców.

Piątek, 9 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Orkiestra mandolinistów im. St. Moniuszki.
16.15 Koncert rozrywkowy.
16.45 Reportaż Romana Zrębowicza z Wystawy paryskiej.
17.00 Koncert z Ciechocinka.
18.10 Muzyka lekka.
19.00 Rapsodje Debussy'ego.
19.20 Recital śpiew. Eedo Karrisoo.
20.00 Z fali na falę — audycja w układzie St. Roya.
21.00 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej.
21.45 „Lublin" — poemat J. Czechowicza.
22.00 Koncert solistów.

Sobota, 10 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
16.00 Słuchowisko dla dzieci „Wyprawa pod psem".
16.30 Mniej znane uwertury.
17.30 Audycja konkursowa.
17.50 Taternik z aparatem fotograficznym — pogadanka.
18.15 Miliza Korjus i Herbert Ernest Groh (płyty).
19.00 Pieśni ludowe ziemi wileńskiej.
20.00 „Szlakiem piosenki wielkopolskiej" — audycja dla Polaków z zagranicy.
21.05 Wieczór operetkowy.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.